№ 47 Warszawa, dnia 13 (25) Listopada 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z prze syłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Przedwstępne usiłowania powieści czeskiej.

Skreślił

Wiktor Czajewski.

Przedstawiwszy czytelnikowi cały stan rzeczy, tyczący się rozwoju i podstaw nowszej literatury czeskiej, chciałbym wykazać o ile ona wywiązuje się ze swego zadania i podąża po świeżo zdobytych drogach.

Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że piśmiennictwo czeskie nie odrazu przyswoiło sobie ten charakter odrębny, który tak jasno przebija się u wielu pisarzy. Przed rokiem 1855 tych usiłowań prawie zupełnie nie spotykamy, a powieść nosiła przedewszystkiem szaty kosmopolityczne, lub patryotyczne a najczęściej tendencyjne; artyzmu i form estetycznych, lub co więcej psychologicznego czynnika trudno się było tam dopatrzyć. Jak poezya tak i powieść czeska przedewszystkiem tylko taka była czytana, gdzie patryotyzm i ojczyzna figurowały na pierwszym planie.

To też od powiastek Antoniego Zimovy, wydanych w 1787 roku, gdzie autor przedstawia, jak nieszczęśliwe może być dziewczę przez miłość — aż do misternego przekładu Chateaubrianda „Atalii" dokonanego przez Józefa Jungmana w 1805 roku, i język i wypracowanie i forma uczyniły postęp znamienity. Nie wpłynęło to jednak na stanowczy rozwój właściwej nowelli, powieści lub romansu, gdyż społeczeństwo czytające po czesku tych wyższych form nie potrafiło zrozumiéć i ocenić, a tem samem nie mogło się do nich przywiązać.

Owszem wydawnictwa te tylko miały lepszy pokup, które z humorem zamieszczały powiastki mogące zająć niższe warstwy społeczne. Naprzykład „Pusta wyspa", „Rycerz w więzieniu", napisane przez Franciszka Tomsę, lub „Jędrzej z Dubinowa" powiastka Tomasza Kubelky. Dopiero z wystąpieniem w 1824 roku Jana Jędrzeja Marka (*) piszącego pod pseudonimem Jana z Hviezdy (z Gwiazdy) powieść czeska zaczęła się rozwijać coraz więcej, zwłaszcza, że wychodzące czasopisma w dziesięć lat później w 1835 roku zajęły się jej uprawą i rozwojem.

Wykształcony na swoich poezyach, które w formie romansów i balad pierwotnie pisywał, Marek wyrobił sobie styl wyśmienity, a że posiadał bardzo wiele formy i smaku estetycznego, przeto miał już pierwsze warunki za sobą.

Styl i treść powieści stanowiły u Marka jedną harmonijną całość, a jeżeli łączył opowiadanie swoje z historycznemi faktami, wtedy jaskrawość farb i charakterystyka czasu uzupełniały ten piękny obraz. Takich powiastek do 1847 wyszło dziesięć, z których najlepszemi są niezawodnie „Masticzkarz z czasów Jędrzeja Korutańskiego" i „Jarogniew z Hradka" rzecz czerpana z dziejów Jerzego Podiebradzkiego.

Do pracy J. J. Marka przyczyniły się bardzo usiłowania jednego z najpłodniejszych pisarzy Prokopa Chocholouszka, urodzonego dnia 11 lutego 1819 roku w Sedlci około Taborska. Chocholouszek poświęcił się wyłącznie literaturze i służył jej wiernie aż do roku 1864. Młodego, bo prawie w sile wieku będącego mężczyznę wydarła czeskiemu społeczeństwu złowroga śmierć. Zmarł on dnia 15 lipca zaledwie w 45 roku życia. Swoją karyerę literacką rozpoczął Chocholuszek nowellą „Wanda", drukowaną w ówczesnie wychodzącym czasopiśmie „Wlastimilu". Pierwsze próby młodzieńczego pióra powiodły mu się nieźle i odtąd literatura czeska coraz więcej wzbogacała się jego pracami.

Przedewszystkiem jednak pisał on romanse i powieści, które odznaczały się malowniczością stylu. Do takich możemy zaliczyć „Templaryusze w Czechach" romans w 3-ch tomach, wydanych po raz pierwszy w 1842 roku „Córka Otokara", „Dwór króla Wacława" i wiele innych, bardzo chwalebnie zapisanych w pamięci czytelników czeskich: oprócz tego był stałym współpracownikiem w „Kwietach", gdzie zamieścił nowy romans „Pirziną" (1860 r.) z „Kwetów", przeszedł potem do „Hlasu" gdzie jak się mogą przekonać czytelnicy z daty śmierci, nie zbyt już długo pracował.

Nie wspominaliśmy tu jeszcze, że Chocholuszek przed rozpoczęciem pisania powieści historycznych, czerpał treść do swoich utworów z dziejów południowych Słowian. Wszystkie te powieści zebrał i wydał osobno w roku 1862 pod ogólnym tytułem „Iih" (Południe), książka ta doczekała się powtórnego wydania nakładem I. L. Kobra. W powieściach tych jest wiele barwności i piękna, wiele uczucia, ale przedewszystkiem znać pośpiech który niejednokrotnie pociąga za sobą większe i drobniejsze usterki historyczne. W sytuacyi jednak jak również doborze charakterów bardzo się on różni od innych pisarzy czeskich z tego czasu swą świeżością pomysłu i niezwykłą intuicyjną siłą.

Więcej może zasłużonym od Chocholouszka jest Józef Kajetan Tyl. Główna jego działalność skupia się około teatru narodowego, gdzie też pomówimy o nim obszerniej, tu musimy tylko zanotować jego piśmiennicze usiłowania na polu powiastki historycznej i nowell. Tyl był to pisarz

(*) J. J. Marek urodził się w 1801 r. w Liblinie, zmarł w 1853 r. w Kralovicach.

przedewszystkiem starszych pojęć, a wszystko to co uważał za piękne, musiało się zlewać koniecznie z patryotyzmem tym, którym żyło ówczesne pokolenie. Nic dziwnego, urodzony w 1808 roku, przeszedł fazę tego życia i wżył się w nią zupełnie. Ratowało go jak i dotąd ratuje jego utwory od zapomnienia silne i gorące uczucze, piękny barwisty język i bujna fantazya, która zaokrągla to, co rozum, ani doświadczenie nie mogło osiągnąć. Początkowo rozpoczął swoje powiastki historyczne drukować w czasopismach a przedewszystkiem we własnym czasopiśmie „Dawniej i Dzisiaj", które było zasilane całym szeregiem prac młodych pisarzy.

Niedługo jednak pozostawał w tym obozie, sztandar swój zatknął na innem polu, rozpoczynając powieść ludową i społeczną. Ogromny zasób erudycyi, — głęboka i pilna obserwacya — wreszcie miłość wszystkiego co czeskie, jak również niesłychana fantazya i uczuciowość przyczyniły się do zachęcenia czytelnika. Tyl stał się kochankiem swego narodu. Pisząc sztuki teatralne i powiastki, redagował kolejno to pismo swoje zmienione potem w „Czeskie kwiety" to w 1840 roku „Wlastimila" aż wreszcie przeszedł na reżysera teatralnego, ożeniwszy się wpierw z panią Forcheimową. Tymczasem sława Tyla coraz więcej wznosiła się w narodzie, wspomniałem już o jego śpiewie, który w 1834 r. został przyjętym za hymn narodowy, w dziesięć lat potem, mianowicie w 1844 roku spootkała Tyla również niespodzianka, napisał romans pod tytułem „Ostatni Czech" (Pośledni Czech), za co otrzymał konkurs „Maticy czeskiej".

Z wystąpieniem Hawliczka, który swą ostrą krytyką pragnął zaprowadzić w czeskiej literaturze sumienniejszą pracę, dostała się spora porcya uwag i „Ostatniemu Czechowi".

Krytyka ta została zamieszczoną w „Czeskej Pczele" w 1845 roku, gdzie Hawliczek zarzuca głównie, że ów „Ostatni Czech" jest utworem sentymentalnym, przepełnionym tylko deklamatorskim patryotyzmem, co dotknęło bardzo autora. Wszakże krytyka uważa za szczyt pisarskiej działalności owego „Ostatniego Czecha". Odtąd datuje się upadek Tyla jako powieściopisarza, który z dnia na dzień wykończa swoje powieści. Zawsze pomimo usiłowań i przekonywających świadectw Hawliczki, dowodzących że dosyć tych wierszy ulotnych i romansów na ten przestarzały temat jak również pochlebstw wypisywanych na cześć ojczyzny i jej patryotów, „Ostatni Czech" rozszedł się szybko po kraju i wywarł ogromne wrażenie.

W każdym razie w utworze tym nam pozostała tylko pamiątka obrazu i sposobu myślenia dawnych patryotów czeskich.

Jakkolwiek sam Tyl dąsał się i odpowiadał z sarkazmem na wszelkie krytyki, nie poprzestał jak najsurowiej karcić swoich przeciwników i nowatorów za ich powieści, gdzie wnosili inne przekonania. Pierwszy pod tą surową krytykę Tyla dostał się Macha.

Autor „Maju" chciał nadać nowy kierunek czeskiej poezyi i literaturze, którą patryoci tylko w jedną wykombinowaną przez siebie oblekali szatę. To też nie uszedł on surowego sądu krytyków patryotów, na których czele dał mu surową naukę sam Tyl.

Mówią powszechnie, że nawet jego powieść „Rozerwaniec" miała w karykaturze przedstawić wyrzeźbioną postać Machy.

Wogóle walka ta, która z wystąpieniem Hawliczka i Machy przybrała tak bojownicze rozmiary w Czechach, wiele jest spokrewniona z naszą walką klasyków z romantykami. Jak tu tak tam starzy stanęli w obronie dawnych pojęć i wszelkiemi środkami życzyli sobie zachować dawne formy. Nieubłagany jednak postęp w jednej chwili na skrzydłach potężnych geniuszów, potrafił wznieść się i pokonać to, co już naówczas żyć w świecie piękna przestało.

Bądź co bądź postać Tyla ma ogromne znaczenie w literaturze czeskiej. Nie dbał on co prawda o oryginalność, ale zato pisał wiele, nawet bardzo wiele, rzucając niejednokrotnie w powieści cudze myśli i obrazy.

Z główniejszych powieści Tyla są: „Prokosz Biliński", „Przyjaciele", „Militka", „Rozpustny Janeczek", „Komedyanci", „Pół do dwunastej na Wyszegradzie", „Księgarz patryota", „Loterya", „Radość mięsopustu pragskiego", „Człowiek sprawiedliwy", „Czech i Lech", „Patryoci", „Przejażdżki po Czechach", „Wieczór świętego Mikołaja", „Dlaczego jestem Czechem" i t. d. aż do ostatnich powieści: „Stary Tomasz", „Panna Lichnicka", „Arabeski", „Coś bez napisu", „Ta nowa drózyna", „Złodziej", „Źli ludzie", „Ojczyzna i matka", „Miłość poety", „Dyrektor teatralny" i t. p. To cośmy tu przytoczyli, nie stanowi ani jednej trzeciej działalności na polu powieściopisarskiem Tyla, a chociaż większa liczba tych utworów stanowi powieści albo w części przełożone lub też co więcej przerobione z innych ksiąg lub opisów etnograficznych, to jednak ma on tę zasługę że co dawał narodowi swemu było zdrowem, a ogrom materyału coraz więcej oddziaływał na masy i stawał się tym czynnikiem pobudzającym do dalszej pracy nad kształceniem swych pojęć i ducha. Wprawdzie, świat ówczesny ukochał sposób pisania Tyla a obeznawszy się z nazwiskiem piszącego nic więcej od niego nie wymagał. Słusznie więc czeska krytyka przyznaje Tylowi, że on nauczył i wpoił zamiłowanie w Czechach do czytania po czesku.

W podobnymż duchu podążał Józef Ehrenberger, kanonik na Wyszehradzie. Jego powiastki jednak o wiele są słabsze niż Tyla i noszą przeważnie cechę moralizującą. Odróżnia się jednak od poprzedników głównie tem, że zaczerpnięty temat z opowieści ludowych z niesłychaną przeprowadza prawdą.

Równocześnie z nim, w tymże duchu pracował Wojciech Hiczka, inaczej Franciszek Prawda, podobnież jak i poprzedni ksiądz ale już tylko na Hradku. Spędziwszy czas na wsi, szczęśliwiej i z niesłychaną siłą obserwacyi opisywał w swoich powiastkach lud, ale tak prawdziwy, tak szczerze uczciwy, że widocznem jest jak się wżył w niego a najpewniej że z niego powstał.

Wprawdzie niekiedy obrabia swój przedmiot jednostronnie i tendencyjnie, tak iż częstokroć wpada w ton kaznodziejski, ale to wartości pracy jego nie umniejsza, tylko osłabia wrażenie wywołane prawdziwą, miniaturową fotografią tego uczciwego ludu

Nic więc dziwnego, że prace jego zostały licznie przełożone na inne języki.

Niepospolity talent w tego rodzaju powieściach okazał jeszcze Erben, zbieracz pieśni i klechd ludowych.

Wykształcony na wzorach prawdziwie ludowych, skreślił kilka udatnych powiastek, jednakże rozerwany innemi poważniejszemi pracami, porzucił wkrótce to sympatyczne pole.

Powoli więc zbliżamy się do naszego okresu. Wpierw jednak nim zamkniemy ten cały obraz, musimy wliczyć tu jeszcze jeden talent, bardzo znaczący. Jest nim Bożenna Niemcowa, autorka kilku powiastek czeskich i słowiańskich, pełnych prawdziwego i gorącego uczucia, szlachetnej myśli i pięknej formy. Intryga, albo opowieść jest dosyć zawikłana, co najlepiej możemy sobie uwidocznić na wiejskim obrazku „Babiczka" (*) w której widzimy cały lud wiejski z jego dodatniemi i ujemnemi stronami, z jego sposobem myślenia i szlachetnem sercem.

Tak stanął pierwszy peryod kształtującej się świeżo nowelli i powieści czeskiej. W całem tem przejściu spostrzedz można jeden rys charakterystyczny, a mianowicie, że początkowo powieść przywdziewa na siebie formy kosmopolityczne, a fantazya i wyszukane obrazy stanowią całą jej ozdobę.

Po wkroczeniu obcej powieści, która znalazła licznych tłomaczy, rozpoczyna się w Czechach większy ruch umysłowy, ale powieść nie kroczy wedle naleciałych wpływów i wzorów, ale wyrabia się po większej części na tle ludowem lub małomieszczańskiem i zdąża do zupełnie odrębnego kierunku. Wprawdzie z tego co w tym okresie spotykamy, nie możemy rokować o dalszym jej kierunku, ale niektóre powiastki Franciszka Prawdy, albo Niemcowej dają już pewne podstawy temu nowemu rodzajowi pracy. Jest tylko ta różnica, że do nich nie wchodzi żadna inna forma, żadne inne założenie prócz gorącego patryotyzmu, bez którego powieść obejść się nie może. Daremne są usiłowania Hawliczka, daremne jego krytyki. Stara generacya inaczej myśléć nie mogła, lub nie chciała, dopiero z wystąpieniem Machy wchodzi powieść zupełnie na inne tory. Jego „Krzivoklat" (stok góry, podnoże) i „Cykani" (Cyganie) są najlepszem tego dowodem.

Macha zna dobrze polskich poetów i kształcił się na romantyzmie polskim; to też powieści jego przeważnie pod wpływem polskim powstały, szczególnej zaś „Cyganie", gdzie przed każdym rozdziałem przytacza ustęp z pieśni polskich M. Dunina Borkowskiego, Malczewskiego, Niemcewicza, Mickiewicza, Magnuszewskiego i Stef. Garczyńskiego.

Wogóle wcześnie zmarły Macha zupełnie inne życie nadawał całemu ruchowi literackiemu w Czechach, a usiłowania jego odbijały się na każdym kroku.

I dziś jeszcze najjaśniej przyświecają czeskiej poezyi i literaturze i są bezsprzecznie jedynemi z czasów odrodzenia. Szkoda tylko, że człowiek ten zszedł tak prędko z widowni swojej. Jako syn ubogich rodziców Karol Hynek Macha (urodził się dnia 15 listopada 1810 roku w Pradze, a skończywszy w 1836 prawo) wyjechał do Litomierzyc gdzie pracował u adwokata.

Nieszczęście chciało, że naówczas wybuchł pożar w mieście, przy którym on był obecnym, a ratując długo i zacięcie, przeziębił się i zmarł dnia 7 stycznia w 1836 roku. Z nim też na długo poszły i jego usiłowania do grobu.

(*) W tłomaczeniu polskiem ukazała się „Babiczka" (Babunia) w „Przeglądzie Europejskim" z 1863 roku.

Tak więc w krótkiej dobie nowella czeska wzrosła i rozwinęła się bardzo. W przeciągu trzydziestu lat stanęła prawie samodzielnie przechodząc trzy ważne okresa.

W pierwszym z nich, który trwał od roku 1838 do 1848, nauczyła czeski lud czytać i wszczepiła w niego świadomość narodową. W drugim starała się nadać sobie właściwą oryginalną cechę, a od roku 1858 występuje już jako skończona podnosząc przeważnie rozmaite cywilizacyjne, społeczne i rodzinne kwestye, należące do życia przeważnie czeskiego. Czynność czeskiej nowelli w tych okresach bynajmniej nie sprzeciwia lecz uzupełnia się sobą Tyl i Jan Hvezdy w swoich nowellach i powiastkach zamykają prawie całkowity obraz patryotyzmu czeskiego, jakkolwiek nowi noweliści żądali rozbudzenia w narodzie pojęcia patryotyzmu nie w słowach lecz w czynie.

Później dopiero dokonano tego a co więcej, że niektóre talenta wyrobiły sobie zupełnie odrębny rodzaj formy, omawiający wszystkie żywotne kwestye.

OBRAZEK WIEJSKI.

CO JA UMIEM!

Co ja umiem! ej, nie wiele,
Czyż na to się żalić!
Umiem w święto i w niedzielę,
Pana Boga chwalić.
Pasać owce i baranki
Na łące, w pogodę,
Z kłosów wiązać snopy, wianki,
Chacie na wygodę.
Na podarki ślubne—przędzą
Oplączę wrzeciono,
I gdy tatuś syna szczędzą,
Ciągnę w Pole z broną.
Z ranną rosą, od ptaszyny
Chwycę skrzydeł dwoje,
Mknę przez wzgórza i doliny
Po te życia znoje!
Umiem tęskne snuć zadumy,
Pod cienistym klonem,
Fruwać niemi w leśne szumy,
Za wieczornym dzwonem...
Umiem piosnki dziewiczemi
W dąbrowie królować,
I oczami błękitnemi
Chłopaków czarować.
Umiem krasne me kośniki (*)
Rozwiać tak figlarnie,
Że się barwny motyl dziki
Do łona przygarnie.
A choć łzami gorącemi
Czasem darń zalana,
Umiem śpiewać mojej ziemi:
Dana moja, dana!

Romania Kamieńska.

(*) Kośniki — wązkie wstążki od warkocza.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Słońce zachodziło właśnie i ostatkami jaskrawych promieni oświetlało świeżo rozwinięte drzewa Zwingeru, kiedy podług wiadomego mi adresu, wysiadałem z dorożki przed jednym z najwspanialszych gmachów i wbiegłszy pędem na wschody pierwszego piętra zadzwoniłem silnie do drzwi oszklonych.

Skoro tylko dzwonek rozbrzmiał po wspaniałych sieniach, usłyszałem po za szklaną ścianą szybkie kroki i po chwili drzwi otworzyła mi panna Anastazya, która z głośnym krzykiem radości wyciągnęła do mnie ręce.

Nie mam słów na opisanie radości z jaką poczciwa Boćwińska ujrzała mnie w swych progach. Zdawało jej się, że przywiozłem jej z sobą cząstkę jakąś ukochanych Młynów i witała mnie razem ze śmiechem i łzami.

— A Ksenia? — zapytałem po pierwszym wybuchu radości i wzruszenia gdy poczciwa stara panna prowadziła mnie w tryumfie do pokoi.

— Kseni nie ma w domu — odparła mi otwierając przede mną bogate podwoje rzeźbione z ciemnego drzewa — wyjechała na konną przejażdżkę. Od czasu, gdy ciepła ustaliły się nieco, przesiaduje prawie dnie całe na siodle i nie rozumiem nawet, jak jej sił już starczy!

Kiedy znalazłem się w pokojach, musiałem opowiedzieć stęsknionej Anastazyi w krótkości wiadomości z domu i okolicy, następnie staropolskim, wiernie tutaj zachowanym zwyczajem, spożyć posiłek jakiś, który panna Boćwińska troskliwie zastawiła i dopiero po chwili mogłem wypytać ją spokojnie o mą pupilkę.

— Z kim wyjechała Ksenia? — zapytałem siadając z świeżo zapalonem cygarem w ustach, na wygodnej jakiejś kanapce pod oknem.

— Wyjechała z kilku znajomymi panami—odpowiedziała mi dosyć krótko, zasiadając obok mnie z robótką w ręku.

— Cóż to za znajomi? — pytałem dalej.

Panna Boćwińska wyliczyła mi kilka nazwisk mniej więcej arystokratycznego brzmienia, pomiędzy któremi dwa, czy trzy niepolskie uderzyły me uszy nieprzyjemnie.

— Cóż to za ludzie i gdzie pozdobywałyście panie tyle znajomości? — ciągnąłem dalej mą indagacyą.

— Poznałyśmy ich w domu hrabiny U., która jak już donosiłam, wielką jest przyjaciółką Kseni, a na której pokojach zbiera się cała Polonia zamieszkała tutaj, wraz z arystokracyą saską.

— Czy kto z kobiet towarzyszy Kseni w tej wycieczce?

— Nie — odrzekła stara panna dziwnym głosem. — Żadna z pań naszych znajomych nie jest amazonką i Ksenia chcąc używać konnej jazdy, której teraz oddaje się z prawdziwą gorączką, musi poprzestawać na męzkiem towarzystwie.

— To źle — odrzekłem niechętnie — nie powinna jeździć sama tylko z mężczyznami. Dlaczegoż pani na to pozwalasz i nie towarzyszysz jej w powozie?

— Byłaby to rola starej kury, która nad wodą strzeże kaczęta — uśmiechnęła się stara panna.— Ksenia jest niesłychanie samowolną i nie myśl pan aby pozwoliła mi, pomimo serdecznego do mnie przywiązania, rządzić sobą. Nie chciałam pisać o tem i oskarżać ją, ale trudno mi tu ten charakter rwący się i nieugięty utrzymać.

— Czyż byłabyś pani z postępowania jej niezadowoloną? — zapytałem zadziwiony.

— Jej piękność i majątek, którego szeroka sława dobiegła aż tutaj z kraju, są przedmiotem ogólnych hołdów. Ludzie ją tu psują i zdaje mi się, że zanadto nieco szaleje. Zresztą obaczysz pan sam i osądzisz... oto powraca właśnie.

W istocie w ulicy dał się slyszéć hałas, jaki zwykle sprawiają podkowy licznie idących koni. Zbliżyłem się do okna i spojrzałem.

Do naszej kamienicy zbliżała się zdaleka kawalkata, złożona z kilkunastu jeźdźców różnej fizyognomii, siedzących na różnych, przeważnie pięknych koniach, pomiędzy któremi odbijało świetnie kilka szafirowych saskich i dwa czy trzy białe austryackie mundury.

Ksenia w czarnej amazonce, w kapeluszu mocno naciśniętym na czoło, jechała pomiędzy nimi nieco przodem, słuchając z uśmiechem, ale zarazem i ściągniętemi brwiami, młodziutkiego oficera w mundurze węgierskich honwedów, który jadąc tuż obok, pochylony z konia mówił coś do niej.

Usunąłem się nieco za koronkową zasłonę okna, nie chcąc być spostrzeżonym przez Ukrainkę. Była to przecież próżna obawa, dziewczyna ani pomyślała spojrzéć w górę. Zeskoczywszy z konia i rzuciwszy cugle służącemu, nie oglądając się za swymi towarzyszami, którzy śpiesznie zsiadali z koni, wbiegła szybko w drzwi domu, a za minutę weszła do pokoju szybkim krokiem, trzymając w ręku kapelusz i rękawiczki, które zdjęła jeszcze na wschodach.

Skoro mnie ujrzała, w jednej chwili i pierwszy i drugie znalazły się na podłodze. Dziewczyna z głośnym krzykiem podbiegła ku mnie i zarzuciwszy mi ręce na szyję, obsypała me siwe włosy tysiącem gorących pocałunków.

Przytuliłem ją silnie do serca i chwilę długą pozostawaliśmy we wspólnym, serdecznym uścisku.

Nie było przecież czasu na dłuższe przywitania i rozmowy, w ślad za naszą amazonką, nadchodzili pozostali w tyle jej towarzysze, którzy wkrótce wesołym gwarem i brzękiem ostróg napełnili salony.

Moja Ukrainka z czarownym wdziękiem i swobodą, wymieniła mi z tuzin nazwisk, ale z tych tylko jednego zapamiętałem, owego młodego honweda, którego Ksenia przedstawiła mi jako najmłodszego syna przyjaciółki swej hrabiny U., przybyłego przed kilku tygodniami wraz z bratem swym z Koszyc na Węgrzech.

Nasza młodziuchna gospodyni z powodu mego niby przybycia, zaprosiła całe to wesołe grono, na herbatę wieczorną, a gdy kilku z tych panów robiło ceremonie pewne co do pozostania na wieczerzy w butach z ostrogami i kostiumach do konnej jazdy, roześmiała się głośno.

— Więc, żeby to nie raziło, pozostanę i ja w amazonce! — zawołała wesoło z cudownym wdziękiem wydając służbie rozporządzenia co do rychłego zastawienia stołu.

Na cały ten wieczór moja śliczna pupilka była dla mnie straconą! Kilkunastu mężczyzn, z któ-

rych jak spostrzegłem jeśli nie wszyscy, to przynajmniej większa połowa była w niej zakochaną śmiertelnie, otaczało ją kołem niezdobytem, po za które o przystępie ani nawet myśléć nie było można.

Usiadłszy z boku, z daleka przyglądałem się mej faworytce uważnie. Dziewczyna powróciła już zupełnie do dawnej swej piękności i swobody. Ani śladu cierpienia nie było już widać na jej twarzy, a nawet jeśli to być mogło, to przez te pół roku rozwinęła się jeszcze wspanialej. Pomimo to wszystko zmieniło się coś w jej twarzy w zacięciu ust nieco ironicznem i uśmiechu, gdyż nauczyła się teraz śmiać z ściągniętemi mocno brwiami, z czem jej było przecudownie, ale co czyniło na mnie bardzo przykre wrażenie.

Oprócz tego spostrzegłem ze smutkiem, że moja prosta, niewinna dziewczynka, przez czas tak krótki stała się prawdziwem lwiątkiem salonowem i pod krzyżowym ogniem oczu kilkunastu mężczyzn, czuła się tak, jak ryba w wodzie. Z piękności zaś swej, o której dawniej zdawała się nie wiedziéć wcale, używała teraz jako broni morderczej i umiała nią manewrować doskonale, obdzielając spojrzeniami i uśmiechami całe towarzystwo tak sprawiedliwie, że nikt nie czuł się pokrzywdzonym. Na czarnookiego honweda mianowicie rzucała spojrzenia prawdziwie zabijające, pod któremi młodziutki chłopiec rumienił się jak panienka i literalnie tracił przytomność.

Z podziwem i smutkiem patrzałem na mą drogą Sonię, nigdy dawniej nie dostrzegłem w niej pohopu do kokieteryi choćby najlżejszej i nie pojmowałem zkąd tak nagle rozwinąć się w niej mogła do tego stopnia?

W końcu wieczora sposępniałem tak bardzo, że Ksenia spostrzegłszy to starała się wszelkiemi sposobami rozerwać mnie i wciągnąć do rozmowy a gdy wszystkie jej zabiegi nic nie pomagały, około jedenastej odprawiła gości i pozostawszy ze mną sama, rzuciła mi się na szyję po raz drugi.

— Mój najdroższy staruszku — rzekła przytulając się do mnie — myśmy się jeszcze prawie nie widzieli z sobą! Ale widzisz, u nas tu dzień cały tyle ludzi, że rzadko bardzo kiedy będziemy mogli być sami. Dziś jest już późno i ty mój stary przyjacielu musisz być zmęczony podróżą. Ale jutro wstań rychło, bo ja po staremu zrywam się z łóżka równo ze słońcem a jest to jedyna godzina, w której możemy być razem z sobą tylko!

Na drugi dzień ruch i turkot uliczny, przyzwyczajonego do ciszy wiejskiej, obudził mnie bardzo wcześnie. Spojrzałem na zegarek, była dopiero piąta godzina, nie mogąc przecież zasnąć już przy dniu białym, zerwałem się z łóżka i zarzuciwszy na siebie ubranie, wychyliłem się oknem, przyglądając się wielkomiejskiemu porannemu ruchowi. Zaledwie atoli kilka minut raczyłem się miłym chłodem poranku, gdy drzwi uchyliły się z lekka i służący zapytał mnie: czy życzę sobie wypić śniadanie?

Zapytałem go, czy zawsze budzą się tu w domu tak wcześnie i czy pani przebudziła się już także.

— Jaśnie pani wstaje najpierwsza w całym domu — odparł mi sługa. — Ona to pierwsza posłyszała ten ruch w pokoju i przysłała mnie tutaj, prosząc, aby pan ubrał się jak najprędzej i raczył przyjść do niej do salonu.

Prosiłem o śniadanie, a wypiwszy je i ubrawszy się jak najśpieszniej udałem się do oczekującej mnie Kseni.

Wyszedłszy z pokoju, spotkałem ją na korytarzu. Była ubraną jak do wyjścia w rękawiczkach i słomkowym kapeluszu.

— Dokądże to pani tak rano? — zapytałem podając jej rękę na „dzieńdobry".

Dziewczyna uśmiechnęła się z pod szerokich skrzydeł kapelusza.

— Widzisz mój przyjacielu — odrzekła — ja tu w Dreznie nie porzuciłam mych zwyczai stepowych wcale. Po wieśniaczemu wstaję równo z wróblami na dachach i godziny poranne przepędzam na przechadzce, jeśli tylko pogoda pozwala. Zwykle w tych wycieczkach towarzyszy mi Anastazya, służący, lub ktośkolwiek z mych znajomych, którzy ubiegają się o zaszczyt towarzyszenia mi, jak o największą łaskę. Dzisiaj przecież dałam odprawę im wszystkim i zachowałam ten honor tylko dla ciebie. Wróć się więc po kapelusz mój staruszku i pójdźmy.

Uczyniłem jak mi rozkazała i podawszy jej ramię sprowadziłem ze wschodów.

(D. c. n.)

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

— Ot i pan de Larnac — zawołał Paweł. — Poznaję jego konie.

I wszyscy szybko schodząc z terasy, wróciwszy do zamku, wyszli na ganek w chwili gdy powóz przed nim się zatrzymał.

— I cóż? — żywo zapytała pani de Lavardens.

— Nic! — odpowiedział pan de Larnac — nic nam się nie dostało!

— Jakto! nic? — powtórzyła hrabina, blada i mocno wzruszona.

— Nic, nic zgoła, ani pani, ani nikomu z nas.

I pan de Larnac, wyskoczywszy z powozu, począł opowiadać wszystko co zaszło na posiedzeniu trybunału cywilnego w Souvigny.

— Wszystko — mówił on — szło zrazu jak najlepiej. Zamek został przysądzony panu Gottard za sześćkroć sto tysięcy pięćdziesiąt franków. Nikt nie stawał. Narzucenie pięćdziesięciu franków było dostatecznem. Natomiast mała walka zawiązała się o Blanche-Couronne. Licytacya od pięciukroć doszła do pięciukroć dwudziestu tysięcy franków i także pan Gallard utrzymał się. Znowu walka nastąpiła żywsza jeszcze, o fermę la Rozeraie, lecz i ta dostała się pani, za sumę czterechkroć pięćdziesięciu pięciu tysięcy franków... ja zaś nabywam lasy de la Mionne bez współzawodników, dodawszy tylko sto franków nad sumę szacunkową. Wszystko zdawało się ostatecznie skończonem, wszyscy zgromadzeni z miejsc swych powstali, obstąpiono naszych adwokatów, dopytując się o nazwiska nabywców. Tymczasem pan Brazier, sędzia licytacyą prowadzący, nakazuje milczenie, a woźny ogłasza licytacyą wszystkich tych czterech części w jedno połączonych za sumę dwóch milionów stu pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu tysięcy franków, już dobrze nie pamiętam... Wśród zgromadzenia powstaje szmer ironiczny. Ze wszystkich stron dają się słyszéć głosy: „Dajcie pokój, do czego to, nikt nie stanie." Wtem mały Gibert, adwokat, który siedział w pierwszym rzędzie i dotąd znaku życia nie dawał, wstaje i mówi wolniuteńko: — Ja mam nabywcę na cały ten majątek za dwa miliony dwakroć sto tysięcy franków. — Było to jakby uderzenie pioruna. Powstał gwar wielki, lecz wnet w głęboką przeszedł ciszę. Sala pełną była dzierżawców i drobnych właścicieli. Tyle pieniędzy za ziemię, wprowadzało ich w rodzaj osłupienia pełnego szacunku, dla tego co tyle na raz mógł za nią wydać Jednakże p. Gallard schylił się do ucha pana Sandrier, swego umocowanego, który stawał w jego imieniu. I wnet rozpoczyna się walka między Sandrier a Gibertem. Dochodzą do dwóch milionów pięciukroć. Chwila wahania się ze strony pana Gallard. Ale się decyduje. Ciągną aż do trzech milionów. Tu bankier się zatrzymuje i majątek przysądzają Gibertowi. Wszyscy się rzucają na niego, otaczają, duszą prawie.

— Jak się nazywa? kto taki? powiedz nazwisko nabywcy!

— Amerykanka — odpowiada Gibert — pani Scott.

— Pani Scott! — zawołał Paweł de Lavardens.

— Czy znasz ją! — zapytała hrabina.

— Czy ją znam?... Nie!... ani trochę. Ale byłem u niej na balu, temu sześć tygodni.

— Na balu, u niej!... i nie znasz jej!... Jakiż to rodzaj kobiety?

— Prześliczna, zachwycająca, cudowna!

— A co jest za jeden ten i jaki pan Scott?

— Oczywiście, wielki blądyn. Był na jej balu. Kłaniał się na oślep, na prawo to na lewo. Nie bawił się wcale, zaręczam. Patrzył na nas i wyglądał tak jakby sam sobie stawiał pytanie. Co są za jedni ci wszyscy ludzie? Poco oni zeszli się tu do mnie?... A myśmy przychodzili zobaczyć panią Scott i miss Percival, jej siostrę. I warte były tego!

— Ci Scottowie — rzekła pani de Lavardens zwracając się do pana de Larnac — czy pan ich nie znasz czasem?

— Przeciwnie, znam ich... Sam Scott jest Amerykaninem bajecznie bogatym, który osiadł w Paryżu w roku przeszłym. Skoro to nazwisko zostało wymienione, zaraz zrozumiałem że zwycięztwo wahać się nie mogło. Gallard musiał być pobity. Scott zaczął od tego iż kupił w Paryżu pałac za dwa miliony franków, gdzieś w okolicy parku Monceau.

— Tak, przy ulicy Murillo—przerwał Paweł— wszakże mówiłem żem był u nich.

— Pozwólże mówić panu de Larnac. Później opowiesz nam historyą twego balu u tej pani Scott — przerwała hrabina.

— Jak tylko moi Amerykanie osiedlili się w Paryżu, wnet począł się lać deszcz złoty — ciągnął pan de Larnac. — Prawdziwi dorobkiewicze, bawiący się szalonem wyrzucaniem pieniędzy przez okna. Ten wielki majątek, jak mówią, jest bardzo świeży, opowiadają nawet, że pani Scott, nie dalej jak dziesięć lat temu, żebrała po ulicach New-Yorku.

— Żebrała?

— Tak mówią, proszę pani. Potem wyszła za tego Scotta, syna jakiegoś bankiera z New-Yorku... i nagle, jakiś wygrany proces dał im w ręce nie miliony, ale dziesiątki milionów. Mają gdzieś tam w Ameryce kopalnię srebra, ale kopalnię istotną, kopalnię prawdziwą, kopalnię srebra, w której naprawdę jest srebro. O! zobaczycie państwo jakim teraz zbytkiem zabłyśnie Longueval! My wszyscy w całej okolicy, przy nich będziemy wyglądać jak nędzarze. Utrzymują i dowodzą niby lepiej świadomi, iż oni mają przeszło sto tysięcy franków do wydania dziennie.

— I to będą nasi sąsiedzi! — zawołała pani de Lavardens.— Jakaś awanturnica! Ale to nic jeszcze... heretyczka, księżę proboszczu, protestantka! Heretyczka! protestantka! Biedny proboszcz! on o tem właśnie nasamprzód był pomyślał słysząc te słowa: *Amerykanka!* Nowa pani zamku nie będzie bywać w kościele! Co go to obchodziło iż żebrała kiedyś! Co go obchodziły ich miliony i dziesiątki milionów! Ale nie była katoliczką! On już nie będzie chrzcić dzieci jakie na świat przyjdą w Longueval'u, a kaplica zamkowa w której tyle razy mszę odprawiał, zostanie przerobioną na dom modlitwy protestantów, w którym rozlegać się będzie zimne słowo jakiegoś kalwińskiego lub luterskiego pastora.

Pomiędzy temi wszystkiemi zmartwionemi lub pomieszanemi osobami, jeden Paweł de Lavardens zdawał się być promieniejący.

— Zachwycająca heretyczka, w każdym razie— rzekł — a nawet, za waszem pozwoleniem, dwie zachwycające heretyczki! Trzeba je widzieć, obie siostry, konno, w lasku, z dwoma groomami z tyłu, nie wyższymi jak na łokieć może.

— Teraz, ty Pawle, rozpowiedz co wiesz o nich i o tym balu na którym byłeś. Jakim sposobem dostałeś się do tych Amerykanek?

— Zupełnie wypadkowo, moja ciotka Walentyna przyjmowała u siebie tego wieczora. Przybywam około godziny dziesiątej, a wiecie dobrze, że nie tak to szalenie wesołe owe środy u cioci Walentyny. Ziewałem więc już od dziesięciu minut, gdy spostrzegam Rogera de Pugmartin, który cichaczem zręcznie wymykał się z salonu. Doganiam go w przedpokoju i mówię:

— Wracajmy razem.

— Ja nie wracam do domu.

— Gdzie idziesz?

— Na bal.

— Do kogo?

— Do Scottów; chcesz pójść ze mną?

— Ależ nie jestem proszony.

— Ani ja.

— Jakże to, idziesz nieproszony?

— Wstąpię do jednego z moich przyjaciół.

— Który z niemi jest w blizkich stosunkach?

— Wcale nie, zna ich zaledwie, ale dostatecznie aby nas obu zaprezentować. Chodź więc. Zobaczysz panią Scott.

— O! widziałem ją w lasku, na ślicznym koniu.

— Co tam w lasku, w amazonce nie mogła być dekoltowaną, nie mogłeś widzieć jej ramion, a to właśnie jej ramiona widzieć należy! Obecnie w Paryżu nic piękniejszego nie ma!

Ot jakim sposobem byłem na tym balu... i widziałem czerwone włosy pani Scott... i zachwycałem się białemi ramionami pani Scott... i mam nadzieję widzieć je nieraz jeszcze gdy będą bale w Longueval.

— Pawle! — odezwała się pani de Lavardens, wskazując na księdza.

— Ach księżę proboszczu, przepraszam najpokorniej. Czyżem powiedział coś takiego? Zdaje mi się, że nic zgoła.

Ale biedny księżyna z tej rozmowy nie słyszał ani słowa. Myśl jego była gdzieindziej. Już w ciasnych uliczkach swych wioseczek, widział protestanckiego kapelana zamku zatrzymującego się przed każdą chatą i ukradkiem wsuwającego pode drzwi broszurki ewangeliczne.

Ciągnąc swoje opowiadanie, Paweł począł entuzyastyczny opis pałacu, który wydał mu się istnym cudem.

— Złego smaku i krzyczącego zbytku — przerwała pani de Lavardens.

— O! wcale nie, droga mamo, wcale nie! Nic krzyczącego, nic bijącego w oczy. Meble przepyszne, całe urządzenie pełne wdzięku i oryginalności. Oranżerya nieporównana, zalana światłem elektrycznem. W tej oranżeryi urządzony bufet, pod altanką winogradową, okrytą najpyszniejszemi gronami. Uważ mamo w kwietniu, a było tego aż zanadto. Mówiono, że ordery i akcesorya do kotyliona kosztowały czterdzieści tysięcy franków, bombonierki, drobne klejnociki, cacka i drobiazgi zachwycające, z prośbą aby je zatrzymywać na pamiątkę balu. Ja nic nie wziąłem, ale wiele osób nie omieszkało skorzystać z tej wspaniałości. Pugmartin tegoż wieczora opowiadał mi historyą pani Scott, różną jednak od historyi pana de Larnac. Roger mówił mi, że pani Scott będąc jeszcze bardzo małą dziewczynką, była porwaną przez trupę wędrownych akrobatów i że ojciec odszukał ją woltyżerującą w jarmarcznym cyrku, skaczącą przez papierowe obręcze, wśród frenetycznych oklasków tłumu.

— Woltyżerka!—zawołała pani de Lavardens— sto razy wolałabym już żebraczkę!

— I kiedy Roger opowiadał mi ten romantyczny epizod, widziałem zbliżającą się ku nam z głębi wspaniałej galeryi, ową woltyżerkę jarmarcznego cyrku, w cudownym stroju balowym z atłasu i koronek, mogłem podziwiać jej olśniewające ramiona i szyję, na której świeciły brylanty tak wielkie jak korki od butelek. Mówiono, że minister finansów sprzedał pokryjomu pani Scott połowę dyamentów koronnych i tymto sposobem w przeszłym miesiącu, mógł wykazać w budżecie przewyżkę piętnastu milionów. Pozwólcie dodać, jeśli łaska, że ta mała woltyżerka prawdziwie po pańsku wyglądała i była najdoskonalej swobodną wśród tych przepychów.

Paweł opowiadał z takim zapałem, że matka aż wstrzymać go musiała. Wobec pana de Larnac mocno dotkniętego, zanadto wyraźnie okazywał przyjemność jakiej się spodziewał z sasiedztwa tej cudownej Amerykanki.

Ksiądz Konstanty zabierał się już z powrotem do domu, gdy Paweł widząc to, zatrzymał starego.

— O nie! nie! księżę proboszczu — rzekł on — ja na to nie pozwolę, abyś po raz drugi i w taką spiekotę, piechotą odbył drogę aż do wioski. Pozwól żebym cię odwiózł. Wiem że teraz smutne myśli cię trapią i że masz wiele zmartwienia, może mi się uda kochanego proboszcza rozweselić. O! chociaż jesteś świętym, jednakże zdarza ci się czasem zaśmiać się z moich szaleństw.

W pół godziny potem, obaj proboszcz i Paweł szybko jechali w stronę wioski. Paweł gadał i gadał, usta mu się nie zamykały. Matki już nie było aby go uspokajać i powstrzymywać. Radość jego nie miała granic.

— Widzisz bo księżę proboszczu, niesłusznie bierzesz rzeczy tak tragicznie. Patrz z łaski swojej, patrz na moją klaczkę jak kłusuje, jak nóżki zbiera. Nie znasz jej jeszcze, wiesz kochany proboszczu co za nią dałem, nic prawie, czterysta franków! Wynalazłem ją temu dwa tygodnie, zaprzężoną do tragarskiego wozu. Gdy się rozejdzie jak nic cztery mile robi na godzinę! O! patrz jak ciągnie, jak ciągnie! Wszakże ci nie pilno księżę proboszczu? Wracajmy lasami. Czy zgoda? Trochę dalej, ale powietrze leśne dla ciebie zdrowem będzie. Gdybyś wiedział księżę proboszczu ile ja mam dla ciebie przywiązania i szacunku! Czy nie zawiele głupstw mówiłem przed chwilą? Bardzo by mi to przykrem było!

— Nie, moje dziecię, ja nic takiego nie słyszałem.

— A więc jedźmy dalszą drogą.

Skręciwszy na lewo i w las wjechawszy, Paweł wrócił do swej pierwszej myśli.

— Mówiłem więc kochanemu proboszczowi, że niesłusznie tak tragicznie zapatrujesz się na zaszłe wypadki. Czy chcesz abym powiedział co myślę? Oto uważam za bardzo szczęśliwe to co się stało.

— Bardzo szczęśliwe?

— Tak jest, bardzo szczęśliwe. Tysiąc razy wolę Scottów w Longuevalu aniżeli tych Gallardów. Wszakże słyszałeś przed chwilą kochany proboszczu pana de Larnac, wyrzucającego im szalone trwonienie pieniędzy? Nigdy nie jest szaleństwem wydawać pieniądze. Chyba trzeba być waryatem ażeby je chować. Twoi ubodzi, bo pewny jestem, że o nich myślisz tylko, twoi ubodzy mieli dziś dzień szczęśliwy. To moje zdanie. Religia... zapewne, no cóż robić. Nie będą bywać w kościele, to ci sprawia przykrość, bardzo naturalnie, ale będą ci przysyłać pieniądze, dużo pieniędzy, a ty kochany proboszczu będziesz je brał i rozdawał, i będziesz miał słuszność. Więc smucić się nie masz czego. Spadnie deszcz złoty na całą okolicę. Ruch! hałas! powozy czterokonne, pocztylioni upudrowani, polowania, bale, ognie sztuczne. I ot w tym lesie, na tej drodze którą jedziemy, może odnajdę niedługo mój Paryż ukochany. Zobaczę w nim znowu moje dwie amazonki z ich malutkiemi groomami o których już wspominałem Żebyś wiedział proboszczu kochany jakie one śliczne na koniach, obie siostry! Jednego poranka jadąc w ślad za niemi, objechałem cały Buloński lasek, nie mogłem się dość im napatrzyć i dotąd je widzę. Obie miały wysokie popielate kapelusze z małemi czarnemi woalikami, do twarzy dobrze przystającemi i długie amazonki bez stanu z jednem szwem tylko idącym wzdłuż linii pleców. O! potrzeba kobiety ślicznie zbudowanej, aby mogła nosić amazonkę taką. Bo widzisz księżę proboszczu, przy amazonce bez szwu, wszelkie fałsze i sztuczne dodatki są niemożebne.

Ale ksiądz już od chwil kilku, żadnej nie zwracał uwagi na to co Paweł rozpowiadał. Powóz toczył się teraz bardzo długą i zupełnie prosto wyciętą drogą. W drugim jej końcu proboszcz dostrzegał jeźdźca galopem ku nim się zbliżającego.

— Patrzno — odezwał się do Pawła — patrz tam przed siebie. Twoje oczy lepsze od moich. Czy to nie Jan naprzeciw nas jedzie?

— A tak, to on, poznaję jego klacz szpakowatą.

Paweł lubił konie i zawsze pierwej niż jeźdźca, konia opatrzyć musiał. Rzeczywiście był to Jan,

który poznawszy proboszcza i Pawła, podniósł wysoko w górę kepi i potrząsał niem, ozdobionem dwoma złotemi galonami. Jan był porucznikiem artyleryi w pułku trzymającym garnizon w Souvigny.

Po chwili zrównawszy się z powozikiem, konia swego osadził i zwracając się do proboszcza rzekł:

— Jadę od was mój ojcze i Paulina mówiła żeście poszli do Souvigny, aby się dowiedzieć o rezultacie licytacyi. A więc, któż kupił zamek?

— Jakaś Amerykanka, pani Scott.

— A Blanche-Couronne?

— Także pani Scott.

— A la Rozeraie?

— Jeszcze ona.

— A lasy... zawsze pani Scott?

— Sam powiedziałeś — rzekł Paweł. — I ja znam ją, tę panię Scott i mówię ci, że będziemy się bawić w Longuevalu. Zaprezentuję cię. Tylko, że to martwi naszego kochanego proboszcza, gdyż jest Amerykanką, protestantką.

— Ach! prawda, mój biedny ojcze. Zresztą o tem wszystkiem jutro pogadamy. Przyjadę na obiad, uprzedziłem Paulinę. Dziś nie mam czasu, jestem na służbie, o trzeciej muszę być w koszarach.

I pożegnawszy obu, młody porucznik artyleryi spiął konia który puścił się galopem, Paweł trącił biczem swą małą klaczkę.

— Ten Jan co to za zacny chłopiec — rzekł po chwili.

— Prawdę powiedziałeś.

— Nie ma nic lepszego na świecie od Jana.

— Nie ma nic lepszego, dobrze mówisz.

Proboszcz odwrócił się, aby jeszcze raz zobaczyć Jana, który już znikał w głębi lasu.

— Ale nie! bo jeszcze wy jesteście, księżę proboszczu.

— Cóż ja? o nie! nie!

— A więc chcesz abym ci prawdę powiedział, księżę proboszczu? Otóż nie ma na świecie już lepszego jak was dwóch, wy i Jan. To szczera prawda! Ach patrz, jaka tu gładka droga, co za wyborna droga do kłusowania! Chcesz, puszczę moją *Niniche*... Nazwałem ją *Niniche*.

I Paweł końcem bicza połechtał klaczkę po boku, a ta puściła się szalonym kłusem, Paweł wykrzykiwał uszczęśliwiony:

— Ale patrzże księżę proboszczu, jak ona przebiera nóżkami, jak łapki podnosi, a tak regularnie, jakby machina jaka! Przechyl się trochę aby widzieć.

Ksiądz dla zrobienia przyjemności Pawłowi, pochylił się na bok, aby widzieć jak Niniche podnosi łapki lecz zupełnie o czem innem myślał.

(*D. c. n.*)

Przegląd Teatralny.

Świetne partye, komedya w 3-ch aktach *Sewera*, i **Świat zabawy**, komedya w 1-ym akcie *Paillerona*.

Teatr nasz coraz częściej poczyna dawać nowości, na które publiczność tak chętnie się zbiera, i z całą możliwą starannością je wystawiać. Ten zwrot tak pożądany od dawniejszego zastoju i apatyi, które od bywania w teatrze bardzo odstręczały, jasno wskazuje, że energiczna i pełna dobrych chęci ręka, ujęła ster teatralnej nawy już tak bliskiej ostatecznego rozbicia. Zarówno i komitet teatralny nanowo funkcyonujący, a wybór sztuk mający za swe zadanie, rozwinął czynność godną uznania, przeważnie uwagę swą zwracając na utwory oryginalne, między któremi chociaż zbyt rzadko, znajdzie się i arcydzieło. Mimo tego wszystkie prawie nowe mniej zręcznie ułożone słuchają się z wielką przyjemnością, dlatego że swoje i własne przedstawiają typy. Komitet bowiem teatralny wie dobrze, iż utwór oryginalny chociażby słabszy, przyjąć należy, gdyż tem tylko autorom dramatycznym daje się możność wyrabiania talentów. Publiczność dobrze to rozumie i trafnie oceniając dobre chęci Komitetu, mające na celu podźwignięcie i rozwój naszej sztuki dramatycznej, na każde przedstawienie oryginalnego utworu licznie się bardzo gromadzi.

Dowód tego świeży mamy na sztuce Sewera: „Świetne partye”, która poddana pod ścisły rozbiór krytyczny, mało warunków scenicznych posiada, a jednakże dlatego, że swojska, że przedstawia wypadki i typy często u nas napotykane, zajmuje i słucha się z przyjemnością a sala, od góry do dołu zapełniona, oklaskuje tak sztukę jako i artystów, którzy czując się na swym gruncie, z całą prawdą życiową odtwarzają dobrze znane im postacie, wcale inaczej aniżeli w danej po niej komedyi Paillerona, w której pomimo swych istotnych talentów, przedstawiając typowych francuzkich salonowców, wyglądają jakby w pożyczanych sukniach.

Byłoby jeszcze do życzenia, jeżeli to w atrybucyach komitetu leży, ażeby chcąc pracować dla dobra sceny, zwrócił uwagę na młode artystyczne siły i dał im możność wyrabiania się i kształcenia; bo i zjakiegoż źródła ma się zasilać personel trzech teatrów, zwłaszcza żeński, z każdym dniem ubywający?

Od tych uwag ogólnych przejdźmy do komedyi Sewera. Znany to i dobrze znany autor, utalentowany powieściopisarz i publicysta. Nie pierwsza to jego dramatyczna praca. Przed kilku laty, „Pojedynek szlachetnych”, komedya na tle obyczajów angielskich osnuta, zyskała akcesit na konkursie warszawskim i z powodzeniem była przedstawianą. W „Świetnych partyach”, na swojski grunt autor już się przeniósł. Rzecz dzieje się w Warszawie. P. Serafin (p. Linkowski), rzeczywisty radzca stanu, wysoką posadę zajmujący i nadęty swym dygnitarstwem, oraz długą służbą, wraz z żoną Klotyldą (p. Niewiarowska), prowadząc życie nad możność i mocno odłużeni, dla córki swej Anieli (panna Wisnowska) szukają świetnej partyi. Pani Kłapczyńska (p. Ostrowska) ich przyjaciółka, niemłoda już ale jeszcze przystojna, żywa i żwawa wszędobylska i wszystkich swatać lubiąca, namawia p. Żytnickiego (p. Grzywiński) obywatela ziemskiego, używającego opinii bogacza, ażeby syna swego Władysława (p. Prażmowski), który wrócił na wieś po ukończeniu nauk zagranicą, do starania się o niby bogatą pannę Anielę. Ojciec nie znajduje oporu, bo Władysławowi panna Aniela, raz jeden w Dolinie Szwajcarskiej widziana, bardzo się podobała. Odbywa się prezentacya, młodzi przylgnęli do siebie i wzajemnie się podobali. Ojcowie zaś przekonani są, że ich dzieci świetne partye robią.

W akcie drugim, natychmiast po ślubie, uszczęśliwieni rodzice czytają licznie poprzysyłane listy i telegramy z powinszowaniami, lecz między niemi w ręce p. Serafina dostaje się telegram radzący Żytnickiemu, ażeby czempręd*z*ej posag synowej odbierał i nim pospłacał długi, bo majątek będzie na sprzedaż wystawiony a Żytnickiemu wiadomość, że pan radzca tak dobrze jak nic nie ma i żadnego posagu dać nie może. Następują gwałtowne stron obu wymówki i postanowienie zerwania małżeństwa dzieci. Ci tymczasem wracają po ślubie i tu śliczna odbywa się scena między młodemi, z całą szczerością się kochającemi i niewiedzącemi, że ich rodzice wzajemnie się oszukiwali, a raczej łudzili, co do swego majątkowego stanu. Obie strony chcą zerwać małżeństwo, a młodzi wzajemnie się podejrzywając o podejście, w pierwszej chwili oburzenia nie sprzeciwiają się temu.

W akcie trzecim następują katastrofy. Majątek Żytnickiego sprzedany, radzca traci swą dobrze płatną posadę. Aniela chce zużytkować swe ukształcenie i pracować dla rodziców. Władysław, który w sekrecie przed ojcem, za granicą kształcił się fachowo i jest wykwalifikowanym inżynierem, z łatwością otrzymuje dobrą posadę. Przychodzi do Anieli chcąc wrócić jej wolność i przynosi zezwolenie na rozwód, tu dowiadują się młodzi o wzajemnej katastrofie majątkowej, równie jak i o tem, że sami o położeniu rodziców nie wiedzieli i w podejściu nie mieli udziału. Tem silniej więc rozbudza się w nich niezagasłe uczucie i we wzajemne padają objęcia, szczęśliwi że w życiu pracy prawdziwa miłość wszystko im osłodzi. Radzca musi spuścić z tonu i przyjąć posadę rejenta, a Żytnicki po stracie majątku zamyśla w łeb sobie palnąć, lecz fertyczna Kłapczyńska inny mu sposób podaje—ofiarowuje mu swą rękę.

Oto treść sztuki Sewera, mającej wiele prawdy życiowej, cel moralny i miejscami szczerym ożywionej humorem. Grana zaś była wybornie, szczególne uznanie należy się pannie Wisnowskiej i panu Prażmowskiemu. Ten ostatni tak pełen był szlachetności w dykcyi i ruchach a z tak prawdziwem uczuciem wypowiadał silniejsze ustępy, iż postać Władysława nadzwyczaj sympatyczną uczynił i do swych ról popisowych zaliczyć powinien. Gra panny Wisnowskiej odznaczała się wdziękiem i prostotą. P. Ostrowska żywością i humorem, oraz doskonale utrzymanym charakterem roli w ciągu całej sztuki, wybornie dopełniała całości. P. Grzywiński, jak zawsze, sumiennie i starannie z zadania swego się wywiązywał a p. Niewiarowska w zbyt bladej roli Klotyldy, nie miała pola do okazania swego talentu. Jeden p. Linkowski w niewłaściwej dla siebie występował roli i psuł harmonijną całość. Nie miał wcale powierzchowności i ruchów dygnitarza.

O treści jednoaktówki Paillerona „Świat zabawy”, nie ma co mówić. Treści tam prawie nie ma, jest to raczej rodzajowy obrazek, pewnej warstwy paryzkiego społeczeństwa, przedstawiony i napisany z werwą, lekkością i sprytem li tylko Francuzom właściwym, a ułożony ze znajomością sceny wytrawnego dramaturga. Akcya cała idzie w niej z niezmierną żywością i artyści nasi dobrze to pojęli. Grą zaś polegającą na lekkości nie będącej w naszym charakterze, odznaczali się głównie pp. Tatarkiewicz i Kotarbiński, oraz p. Ładnowska, która była zachwycającą jako blondynka, w ślicznym balowym stroju, a w grze swojej, szczególnie grze twarzy, umiała nadać wybornie obmyślaną i wystudyowaną finezę kobiecą, wyrazem rysów

lub spojrzeniem malując najmniejszy odcień uczucia. Za wyjątkowo staranne wystawienie sztuk obu, reżyseryi pochwała się należy.

Hieronim Kuczalski.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Sprawozdanie dyrektora C. K. Lwowskiego gimnazyum imienia Franciszka Józefa za rok szkolny 1882. Lwów, 1882 r.

Sprawozdanie to przedstawia się nam nietylko pod względem objętości lecz także i samej treści. Na wstępie zastępca nauczyciela p. Karol Rawer pomieścił obszerne krytyczne studyum pod tytułem: „Polityczne znaczenie zjazdu gnieźnieńskiego roku 1000.” Pan Karol Rawer przystępując do tej pracy, zebrał jak najskrupulatniej wszystkie możliwe materyały a to głównie w celu przeprowadzenia polemicznego sporu z Zeissbergiem i udowodnienia, że podanie znajdujące się w kronice Galla a dotyczące uznania czyli przyznania samodzielności i samoistności Bolesława Chrobrego przez Ottona III-go na zjeździe gnieźnieńskim, nie podlega żadnej wątpliwości i że wszelkie hipotezy, twierdzenia Wagnera, Wilmansa, Giesebrechta, Gfrörera i innych są bez podstawy, wynikłe albo ze złego zrozumienia Galla i Thitmara, albo też ze złej woli. W konkluzyi tej rozmowy p. Rawer zastanawia się wogólności nad znaczeniem zjazdu gnieźnieńskiego, a mianowicie takiego, jak go dzisiaj na podstawie dostępnych źródeł historycznych znamy i przychodzi do tego przekonania, że rezultatem pobytu Ottona III-go w Gnieźnie 1000 r. było rozprzestrzenienie władzy duchownej w Polsce oraz ustanowienie niezawisłej od kościoła niemieckiego archidecezyi krajowej, zlanie na Bolesława władzy zakładania nowych biskupstw, dalej zupełne usamowolnienie Polski i jej księcia z pod zwieszchnictwa cesarzy rzymsko-niemieckich. Mniemana zaś koronacya o której kroniki wspominają, niczem innem nie była jak tylko znakiem uniesienia i przyjaźni młodego cesarza, jako znak potwierdzenia tego „na co nierozważny a dumny młodzieniec usty swemi zezwalał.” Praca ta p. Ravera kolegi i serdecznego przyjaciela niedawno zmarłego i nieodżałowanego Lukasa, jest nadzwyczaj zajmującą i źródłową, życzyćby też należało, aby pomienione studyum i szersza publiczność poznała, przez rozpowszechnienie jej w oddzielnej bro zurze.

Lira polska. Tomik I i II. Warszawa 1882 r., nakładem Lesmana i Świszczowskiego.

Pod tym tytułem w roku bieżącym pojawił się tomik pierwszy zbiorku najcelniejszych utworów poetów naszych a to nietylko oryginalnych lecz i tłomaczonych. W tomiku pierwszym znajdujemy liczny i piękny dobór pereł naszej poezyi, są tam utwory Kochanowskiego, Brodzińskiego, Odyńca, Mickiewicza, Lenartowicza, Zaleskiego i Asnyka. Tomik drugi, który niedawno wydanym został, zawiera poezye Wiktora Gomulickiego. Znajdujemy też tu wszystkie niemal utwory tego młodego poety rozproszone dotąd po różnych pismach. Wiązka to spora w której znajdujemy bardzo wiele ładnych i serdecznych poezyi. Utwory pana Gomulickiego przeważnie tchną głębokim liryzmem a niektóre z nich chwytając za serce pozwalają nam sądzić pochlebnie o niepoślednim talencie autora. Takie jak: „Pod toporem”, „El mole rachmim”, „Czemu?”, „Życie Mormurowej”, „Głos zelżonego”, „Czarna dama”, „Schenzo”, „Bóg tak chce”, „Modlitwa”, „Co mówi poranek”, są niezaprzeczenie perłami pomiędzy utworami p. G., każącemi żałować, że nie o wszystkich toż samo powiedzieć można. Ale bo też są to utwory z lat dawniejszych, dziś muza i talent wieszczy u p. G. zaczyna słabnąć i każe niejednokrotnie żałować, że młody poeta, jak to często się zdarza, w tworach swoich zaniedbywać się poczyna. Daj Boże, aby p. G. z apatyi jaka go napadła otrząsł się co rychlej i nanowo zabłysnął całą potęgą talentu swojego z jakim wystąpił na razie.

„Lira polska”, której tomiki dalsze od czasu do czasu pojawiać się mają, jest dobrze obmyślanem wydawnictwem, tembardziej że obok nader praktycznego formatu i cena jest bardzo przystępna.

Wł. Kor. Zieliński.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Pvomyka na którym nauczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Rada wykonawcza „Macierzy polskiej” we Lwowie, przygotowała już kilka dziełek ludowych z których dwa „O złem a dobrem gospodarowaniu” Z. Gawareckiego, oraz „Lekarstwo na biedę” J. Starkla, oddane już zostały do druku. Rada zawiadamia wszystkich, chcących pracować na tem polu, że i niezamówione prace przyjmuje, byleby tylko odpowiadały celowi rzeczą i formą.

Nadto komitet ogłasza trzy konkursy na napisanie książeczek na wskazany temat, powołując w ten sposób i mniej znane lub nawet zupełnie nowe siły do współudziału w tak ważnej sprawie moralnego i materyalnego podniesienia ludu przez oświatę. Termin konkursu oznaczony do końca stycznia 1883 r. Przedmiota następujące:

a) Na książeczkę o wzajemnych obowiązkach w rodzinie.

b) Na książeczkę o poszanowaniu własności.

c) Na dziełko popularne w przedmiocie weterynaryi ludowej.

Jako honoraryum, ofiaruje „Macierz polska” po 30 złr. w. a. od arkusza druku, w małej ósemce, o szesnastu stronicach. Druk cicero. Pierwsza broszurka ma obejmować 2 — 3 arkuszy druku, druga 2, trzecia 5 — 6 arkuszy.

W broszurce „O obowiązkach rodzinnych”, wykazać ludowi wzajemne obowiązki i prawidłowe stosunki członków rodziny, ich ważność i nieodzowną konieczność wzorowego pożycia rodzinnego oraz błogie jego skutki, także przykrości i niedole tak dla rodziców jak dla dzieci a pośrednio i dla całego społeczeństwa w razie przeciwnym. Zamiast zbytniego moralizowania, podać ożywione przykłady z najbliższego społecznego życia w odnośnych sferach społecznych.

W książce „O poszanowaniu własności” rozwinąć w sposób odpowiedni pojęciom ludu teoryą własności opartą na powszechnie obowiązujących prawach, z usilną dążnością rozbudzenia świadomości jak świętem i nietykalnem jest cudze mienie jak wstrętne i szkodliwe następstwa zawiści i pożądania cudzej własności, tem więcej, że każdy dojść może godziwym sposobem do własnego, stanowi swemu odpowiedniego mienia, przez pracę, trzeźwość i oszczędność.

W broszurce „O weterynaryi ludowej” zamieścić należy: anatomią i fizyologią zwierząt domowych, wskazanie i opis najzwyklejszych chorób, środki zaradcze, wskazówki co do szkodliwości przesądów w danych wypadkach wreszcie naukę obchodzenia się ze źrebcami i kucia koni.

Styl wszystkich tych prac ma być popularny, język wolny od niepotrzebnych prowincyonalizmów i szorstkiej rubaszności, słowem czysty i poprawny. Rękopisma z dołączeniem nazwisk autorów w zapieczętowanych kopertach, mają być przesyłane na ręce podpisanego przewodniczącego w Radzie Wykonawczej „Macierzy polskiej” we Lwowie (w gmachu Ossolińskich). Nagrodzone rękopisma „Macierz polska” drukować będzie z prawem wydania jednej edycyi.

Lwów, 9 listopada 1882 r.

Sekretarz, Władysław Bełza.

Przewodniczący, Antoni Małecki.

*** Rano dnia 11 listopada, przybyła do Matejki deputacya od dawnych już wieków istniejącego w Krakowie cechu malarzy, składająca się: ze starszego cechu, Józefa Maszczyńskiego, podstarszego Jachimowicza i dwóch członków cechu Matzkego i Niemczykiewicza. Udzieliwszy mistrzowi wiadomość, że starodawny, jeszcze przez królów polskich ustanowiony w Krakowie cech malarski nowo zostaje wprowadzony w życie, po krótkiej przemowie prosiła aby jako dań od odtworzonego cechu, pierwszy jego dyplom przyjąć raczył. Dyplom ten pargaminowy, z wyciśniętą prastarą pieczęcią cechu, zawiera co następuje:

„W Imię Trójcy Przenajświętszej, N. M. Panny i św. Łukasza. My, starszy i podstarszy zgromadzenia najstrów malarskich, lakierniczych i pozłotniczych uradziliśmy, aby czyniąc ten zaszczyt cechowi naszemu, prosić JMci wielmożnego pana Jana Matejkę, mistrza malarstwa polskiego, do przyjęcia uczestnictwa w cechu jako majstra nad majstrami, z przywilejami jakiemi tylko cech malarski krakowski od najdawniejszych czasów przez królów polskich udarowanym został. Prawdziwość niniejszego dyplomu stwierdzoną zostaje własnoręcznemi podpisami i pieczęcią cechu. W Krakowie, w dzień św. Marcina, 11 listopada 1882 roku.

Matejko przyjął dyplom i uprzejmie podziękował deputacyi, z nadmienieniem iż chętnie wpisze

się do ich księgi cechowej, skoro mu takową przedstawią.

Trzeba wiedzieć, że według starodawnych zwyczajów, opartych na podstawie królewskich przywilejów, żaden, najznakomitszy nawet artysta, w dawnych wiekach, nie mógł w Polsce trudnić się ani pracować w zawodzie artystycznym, nie będąc pierwej przyjętym do tegoż cechu artystów. Prawo to tak surowo było przestrzegane, że najpierwsi ówcześni artyści, mający zagranicą ustaloną już sławę, nieraz z trudnością dobijać się musieli o zaliczenie ich w poczet członków krakowskiego cechu artystów. Dość powiedzieć że Wit Stwosz, Berecci, Dollabella niełatwo wpisani zostali. A czyż i Matejko małe zwalczył trudności, zanim jako „majstersztyk" odmalował „Hołd pruski" dozwalający mu zostać cechowym „majstrem nad majstrami."

*** Pani Oktawia Wołyńska, podaje w „Przeglądzie Katolickim" zajmujące szczegóły o Polakach w Nikołajewie. Oto co pisze.

W południowej stepowej Nowo Rossyi, nie daleko morza Czarnego, jest miasto Nikołajew, liczące 70,000 mieszkańców, admiralicyą, port i główny zarząd czarnomorskiej marynarki wojennej. Przy założeniu tego miasta w 1789 r. gdy wraz z organizacyą floty, zostało tu zgromadzone i wojsko marynarki z admiralicyą, wtedy w liczbie 8,000 majtków, przybyło także kilkuset ludzi z Mazowsza z nad Wisły. Staraniem admirałowej Grejg, wybudowano dla nich niewielki kościołek w r. 1794.

Od owego czasu już 88 lat minęło i z tej garstki Mazurów marynarzy wyrosło przedmieście zwane „Polska słobódka", w której mieszka teraz około 3,000 weteranów marynarzy, ich dzieci i wnuków. Znajdują oni podporę i pociechę w domu Bożym — lecz dom ten grozi ruiną. Stary kościołek jest już i za ciasny i niebezpieczny. Zacny ks. proboszcz *Nikodem Czerniachowicz*, przez wiele lat nieustannego starania się o jałmużnę, uzbierał zaledwie 12,000 rs., a podług zatwierdzonego przez rząd anszlagu, nowy kościół w tem stepowem mieście ma kosztować 45,000 rs. Rząd dał ze skarbu 8,000 — zatem brakuje jeszcze 25,000 rubli.

W okolicy Nikołajewa nie ma obywateli polskich, nie ma komu pomódz biedakom, których tu jest przeszło 3,000 rzuconych losem ze stron rodzinnych w daleką stepową Ukrainę, nad brzeg Czarnego morza.

*** Dotąd mniemaliśmy że jedyną zaletą kolei żelaznych jest ułatwianie śpiesznego przenoszenia się z miejsca na miejsce tak jednostek jak wojska i transportów—a i to już niemałą było ich zasługą dla przemysłu i podróżujących—obecnie amerykański doktor, p. King utrzymuje, iż w pewnej nadzwyczaj bagnistej miejscowości, w okolicach Filadelfii, malarya zupełnie przestała grasować od czasu zaprowadzenia kolei żelaznych, których kilka linii schodzi się w tem miejscu. Zdaniem doktora King'a, ta pomyślna zmiana klimatu nastąpiła skutkiem nieustannego przebiegu lokomotyw, które ogrzewając powietrze, rozrzedzają je zarazem i w ciągłym utrzymują ruchu. Ruch ten powietrza może przyczyniać się skutecznie do oczyszczania go i rozpędzania zgniłych wyziewów, w których unoszą się zarodki chorób zaraźliwych.

*** W N-rze 357 „Biesiady Literackiej" czytamy ciekawy ustęp o wpływie muzyki na obłąkanych.

„W Salpetrière, znanym szpitalu dla obłąkanych kobiet w Paryżu, ilekroć szał tych nieszczęśliwych zaczyna przybierać niepokojące objawy, uciekają się do muzyki dla ich uspokojenia, i zaczyna się koncert w którym wykonawcami i słuchaczami są obłąkane.

Nader wzruszającym jest widok biednych obłąkanych, przysłuchujących się ze smutnym uśmiechem na ustach i z trwogą malującą się w błędnych spojrzeniach, muzyce swych towarzyszek, zgromadzonych na estradzie.

Obecnie w Salpetrière muzyka weszła w zakres środków przepisywanych przez doktora. Zakład ma stałego profesora śpiewu który urządził chóry, a w szkole dzieci idiotów, znajdującej się w tymże zakładzie, umieszczono harmonium koncertami swemi rozweselające ich dusze. W sali w której obłąkane zajmują się szyciem, stoi fortepian, na którym podczas gdy one pracują, profesor wykonywa różne utwory muzyczne. Wówczas błędny ich wzrok niezwykłym zapala się płomieniem— i często zastępuje professora która z jego obłąkanych uczenic.

Urządzone są w zakładzie kursa muzyki i śpiewu, a zgromadzenia muzyczne odbywają się w głównej sali lub w ogrodzie. Czasem w koncertach tych przyjmują udział niewidomi, wtorując śpiewom obłąkanych — stanowi to widok nadzwyczaj rozrzewniający: najsmutniejsze z nędz ludzkich podają sobie ręce by wspólną osłodzić niedolę. Do koncertów dorocznych niedopuszczani są nieuleczone ani znajdujące się w periodzie furyi; przyprowadzają na nie tylko obłąkane z charakterem zamkniętym, hipokondrycznym, oraz rekonwalescentki wracające powoli do normalnego stanu. Na ostatnie muzyka zdumiewający wpływ wywiera; pierwsze zaraz dźwięki muzyki, przenikając do ich duszy, łzy im wyciskają z oczu, a doznawane wzruszenie lekkim wstrząsa je dreszczem; pod tym wpływem najwięcej przygnębione ożywiają się stopniowo, na zapadłe ich policzki żywy występuje rumieniec. Zaraz nazajutrz czują potrzebę podzielenia się z lekarzem doznanemi wrażeniami, stają się szczere i rozmowne. Wstrząśnienie tak jest silne że nawet jednostki najwięcej nieczułe i obojętne, przejęte wibrującemi tonami fortepianu i słodyczą śpiewu, uczuwają jakby drganie uczucia w swem sercu. Tym sposobem łączą się biedne obłąkane ze światem zewnętrznym, a dusze ich podnosi myśl, że nie są trądem społecznym, że i nad niemi ktoś czuwa, że krata żelazna zamykająca smutny ich przytułek, roztworzy się kiedyś przed niemi.

Jak cudownie działa nieraz muzyka, jako środek leczący obłąkanie, świadczy niedawny przykład przedstawiony przez dra Trélat w raporcie jego do Rady ogólnej szpitali. Mówi w nim o obłąkanej rachitycznej, dotkniętej zupełną niemocą, raczej wegetującej niż żyjącej w Salpetrière. Pozbawiona rozumu i ubezwładniona, była uosobieniem niedołęztwa posuniętego do ostatnich granic. Dr. Trélat kazał przenieść ją do sali w której dawano lekcye muzyki. Gdy zaczęli śpiewać, nieszczęśliwa wytęża słuch i drży przysłuchując się, aż nareszcie głosem czystym, pełnym, drgającem uczuciem, powtarza tylko co słyszaną melodyą, zupełnie wiernie i z odpowiedniem cieniowaniem. To ją uleczyło.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami, oraz Katalog księgarni Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Ноября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 47, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Lecz jakkolwiek nie obchodziło ją teraz nic co się działo daleko od Pont-Avesnes, rodzina zamieszkująca w Paryżu nie dozwalała jej zapomnieć o nim. Jak tylko baronowa dowiedziała się że Klara odzyskała zdrowie, pisywała do niej długie listy, w których, z godną lepszej sprawy wytrwałością, przysełała jej oderwane ale ciekawe sprawozdania. Od niej Klara miała dokładne wiadomości o księciu i księżnej de Bligny, oraz o panu Moulinet.

Pierwsze występy Atenais w wielkim świecie, otoczonej rażącym zbytkiem, głośną wywołały wrzawę. Mężczyznom w ogólności podobała się, ale jej za nadto swobodne i jakby męzkie obejście, odstręczało wszystkie kobiety. Co do księcia, ten wcale nie zwracał na nią uwagi; mówiono że już w trzy miesiące po ślubie rozłączył się z żoną, o ile to było możebnem mieszkając pod jednym dachem. Zalecał się jawnie do pięknej hrabiny Canalheilles, pięknej Irlandki z niebieskiemi oczami, głębokiemi i zdradzieckiemi jak morze. Co do księżnej, tę otaczało nieustannie pół tuzina młodych elegantów, z ufryzowanemi włosami i śnieżnej białości gorsami od bielizny—nigdzie nie spotykano ją bez nich. Tę falangę galantów, nazywała „swoją szóstką cugową" i kierowała nią pewną rękę, bynajmniej nie obawiając się upadku. Strzegły ją od niego oschłość serca i zimny temperament.

Moulinet, wydawszy za mąż córkę, zaczął układać i rozważać jakieś wielkie projekta. Przyjął sekretarza i codziennie przez kilka godzin zamykał się z nim w jednym z pokoi swego apartamentu, który przezwał biblioteką, choć wcale nie było w nim książek. Na wielkiem biurku rozłożył jakiś traktat o ekonomii politycznej, a córka jego utrzymywała iż od drugiej do piątej najsumienniej zasypiał nad nim. Baronowa była pewną, iż były sędzia trybunału handlowego, przygotowywał jakąś kandydaturę. Widywano go, mówiła z jakiemiś ludźmi nie bardzo pozornymi, należącymi niezawodnie do jakichś redakcyj. Prócz tego kilkakrotnie wyjeżdżał do Jura, wybudował szkołę świecką w swojej gminie i skrycie odnawiał kościół. Lewą ręką głaskał radykalnych, prawą pochlebiał konserwatystom. Ten fabrykant czekolady objawiał zmysł Machiawelski.

W rzeczywistości żądza wyniesienia ogarnęła pana Moulinet na starość. Myślał sobie iż skoro potrafił tak dobrze poprowadzić swoje interesa, potrafi doskonale kierować sprawami państwa. Stawił sobie pytanie czy znajduje się w izbie aby jeden deputowany mogący oprzéć jakąś sprawę polityczną na majątku znaczniejszym od tego jaki on posiadał—i szczerze odpowiedział sam sobie: że takiego nie ma. Kupiwszy córce męża „w najlepszym gatunku" mógł śmiało kupić sobie mandat wyborców.

Czas jakiś wahał się między Izbą a Senatem. Senator! tytuł ten mile dźwięczał mu w uszach, a prócz tego zachował pewną cześć bałwochwalczą dla tego Ciała składającego się kiedyś z najznakomitszych w kraju ludzi. Ale z drugiej strony i nazwa „deputowany" była wcale pokaźną, a Izba wydawała mu się znów trochę żywszą i ruchliwszą od Senatu. Dzięki wrodzonemu sprytowi zrozumiał że w Izbie znajdzie nie mało mierności, z pomiędzy których łatwo wyróżnić się zdoła. Rozpoczął więc starania, z postanowieniem nie szczędzenia żadnych ofiar, byle przeprowadzić swoją kandydaturę.

Pojechał do la Varenne rzucić pierwsze podstawy. Okręg jego graniczył z Pont-Avesnes i z Besançon, pojmując jak wielki wpływ musi wywierać pan Derblay, zapragnął zjednać go sobie. Przybył więc w odwiedziny do znakomitego przemysłowca, i grał rolę dobrego i potulnego człowieczyny. Ani słówka nie wspomniał o swoich projektach, oznajmił tylko że na lato przybędzie do la Varenne, i umiał wmówić w Klarę że jest łatwowiernym i dającym kierować sobą, ale nigdy nie ma złych zamiarów, a co do małżeństwa córki, był bezwiednem jej narzędziem.

Jednocześnie założył w Besançon dziennik p. n. *Kuryer Jurajski*, mający za zadanie popierać jego kandydaturę. Głównym redaktorem został jeden z owych niepozornych widywanych z nim ichmościów—Moulinet wybrał z nich najpokaźniejszego. Pod względem przekonań politycznych, obrał niby republikańskie, trzymające środek między prawym a lewym środkiem.

Zresztą, w gruncie mało go obchodziła barwa jego kandydatury—liczył głównie na swój worek—i miał słuszność. Te projekta pana Moulinet bardzo się niepodobały księciu de Bligny; zdawało mu się że skoro teść jego umiał zrobić tak wielki majątek, dziś o tem tylko myśléć powinien, aby on, zięć jego, używał i bawił się za jego pieniądze. I wypowiedział mu to z ową nieco impertynencką poufałością, z jaką przemawiał zwykle do byłego sędziego trybunału.

— Skądże znów opętała pana jakaś szalona mania rzucania się w politykę? Czyż zdaje ci się że sprawy nasze za dobrze idą? Doprawdy trudno pojąć jak ludzie spokojni mogą dawać się opanować jakiejś wściekłej żądzy wikłania się w ten nierozwikłany odmęt! A czy wiesz pan iż może wyborcy są tak głupi że cię wybiorą.

— Ależ liczę na to z pewnością, kochany książę.

— Zobaczymy ile to pana kosztować będzie.

— Cóż to księcia może obchodzić?

— Obchodzi mnie bardzo! Ożeniłem się z jedynaczką, a pan zamierza teraz dać jej siostrę.

— Siostrę?

— Tak, siostrę: politykę! I to jeszcze siostrę która będzie miała liczne potomstwo: całe zastępy faktorów, ajentów, pomocników, protektorów, obrońców, nie rachując już wyborców, a wszyscy ci panowie razem będą cię skubać na wyścigi, i Bóg tylko wie na czem się to skończy!

Moulinet przybrał majestatyczną postawę, i odpowiedział uderzając się po kieszeni, zgodnie z rażącem nawyknieniem którego nie mógł się pozbyć:

— Mój zięciu, nie zabraknie mi pieniędzy na zaspokojenie wszystkich moich fantazyj. Zresztą mam zaledwie sześćdziesiąt lat, mógłbym wspomagać baletniczki...

— Nie poczytywałbym znów tego za tak wielką zbrodnię. Podobne szaleństwo byłoby dla mnie łatwiejszem do zrozumienia! Mała i zgrabna nóżka, zręczna figurka obciśnięta w pasie złotą obręczą, jak to widzimy w *Fauście*, czarne lub błękitne oczy szukające cię w pierwszych rzędach krzeseł, to przecie coś warte! Ale ponosić trudy i koszta dla polityki, to już szaleństwo! Panie Moulinet, zasmucasz mnie bardzo! Posłuchaj mnie, i zwróć się lepiej do baletniczek!

— Przykro mi bardzo, kochany książę, że nie mogę pójść za twoją radą, ale jestem człowiekiem moralnym, wolę zająć się polityką...

— Niechże się nią opiekują łaskawe nieba! Czy pan będzie miewał mowy zostawszy wybranym?

— Jest to bardzo prawdopodobnem.

— Pójdę umyślnie aby słyszéć pana, i przyprowadzę moich przyjaciół; zabawimy się wesoło. Staraj się pan tylko aby cię nie zrobiono ministrem: skompromitowałbyś mnie w końcu!

Moulinet nie zważając na złośliwe docinki zięcia, pracował dalej nad przeprowadzeniem swych planów; przybył zaraz z początkiem wiosny do la Varenne, i zaczął sobie ujmować wyborców.

W tymże samym prawie czasie margrabina wróciła do Beaulieu, a Filip przywiózł Zuzannę z klasztoru. Dzięki obecności młodego dziewczęcia, dom ożywił się trochę, a stosunki między małżonkami przynajmniej pozornie stały się mniej naprężone. Filip musiał odgrywać komedyę w obec siostry i okazywać się czułym dla żony. Wywiązywał się tak doskonale z tego zadania, że w umyśle Zuzanny nie zrodziło się najlżejsze posądzenie: była pewną że brat jest zupełnie szczęśliwy. Nie poznawała Klary; dumna i posępna panna de Beaulieu, była teraz pełną prostoty i łagodnie uśmiechniętą. Zuzanna pokochała namiętnie bratową, która odpłacała jej się przywiązaniem tkliwem i przewidującem, w którem łączyło się uczucie matki i przyjaciółki.

Młodość Klary powstrzymywana w swem rozwoju przez troski, niepokoje i zmartwienia, rozkwitła, teraz pełna życia i siły. Siostra i żona Filipa były prawie zawsze razem. Zuzanna po powrocie do Pont-Avesnes zaczęła znów zwiedzać mieszkania robotników, a Klara towarzyszyła jej wszędzie jak dobroczynna wieszczka. Nie wahała się wydawać pieniędzy danych przez Filipa na wspieranie nieszczęśliwych. Widywano je często w Pont-Avesnes idące obok siebie, w skromnem ubraniu, a wielki pies Filipa towarzyszył im wszędzie. Wszyscy przechodzący kłaniali im się z największem uszanowaniem.

Po kilku miesiącach, Klara stała się bożyszczem tej robotniczej ludności. Mówiono o niej wiele w chatach gdy została żoną pana Derblay. Robotnicy z Pont-Avesnes znali ją dawno; widywali ją nie raz jadącą konno, obojętną, zamyśloną, i odpowiadającą zimnem i prawie nieznacznem skinieniem głowy na ich ukłony. Czuli że jest dumną, i mówiąc o niej między sobą nazywali ją trochę

złośliwie „margrabina” tak jak jej matkę. Teraz, choć była już panią Derblay, pozostała dla nich margrabiną; była tak biała i wysmukła, tak pełna elegancyi, nawet w ciemnej wełnianej sukni, że gdy ją spotykali na ulicach Pont-Avesnes lub wchodzącą do jakiejś ubogiej chaty, patrzyli na nią jak na jakąś wyższą istotę lub królowę, ale pomimo to uwielbiali ją szczerze.

W lipcu, Oktawiusz przyjechał do Beaulieu, i od tej chwili rozpoczęły się dalsze spacery. Zuzanna kazała zaprzęgać do małego powoziku i siadała obok Klary, która powoziła sama i umiała wywiązać się wprawnie z tego zadania. Młody margrabia towarzyszył im konno, i odbywali w ten sposób nader miłe wycieczki do lasów Pont-Avesnes. Pod sklepieniem odwiecznych drzew, jechali wolno, powozik przechylał się to w tę to w ową stronę, gdy na wązkiej drożynie koła jego wpadały w głębokie wyboje, wyżłobione wozami wywożącemi drzewo z porębów. Niekiedy trzeba było wysiadać; w takim razie Oktawiusz podtrzymywał lekki powozik a Zuzanna szła przy koniu, trzymając lejce. Wierzchowiec margrabiego postępował za Klarą jak baranek, patrząc na nią swemi wielkiemi oczyma i wyciągając ku niej szyję jakby prosił o kawałek cukru który przynosiła mu zwykle.

Szczęśliwe to były dni, i Klara zapominała o swoim smutku; ale skoro wieczorem znajdowała się znów sama w swym pokoju, wpadała często w głębokie zniechęcenie. Złamała własne swe życie, i złamała na zawsze. Zbyt dobrze znała teraz Filipa, aby mogła nie wiedzieć że się już nigdy do niej nie zwróci. Stosował się wiernie do umowy zawartej między nimi. Przyrzekł jej wolność, i pozostawił ją jej w zupełności. Z jakąż radością wyrzekłaby się jej teraz dla niego! Popędliwa i dumna, trafiła na silniejszego od siebie, i doznawała jakiejś cierpkiej rozkoszy czując jego przewagę nad sobą. Znalazł się człowiek który zmusił ją do pochylenia dumnego czoła, i kochała go dla tego właśnie że dał jej uczuć siłę swej woli i zniewolił uznać za pana.

W ciągu długich samotnych godzin, wyrzucała sobie gorzko że nie umiała dawniej zrozumiéć jak dalece wyższą istotą był ten którego miała zaślubić. Widziała teraz jak wysokie stanowisko zajmował w kraju; odkrywała codzień z zadziwieniem jedno z licznych źródeł bogactw właściciela kuźnic. Przed powrotem Zuzanny do Pont-Avesnes, nie wiedziała wcale o istnieniu kuźnic w Niwernais, badając ją zręcznie, dowiedziała się że męża jej zaliczano już do książąt przemysłu, tej głównej potęgi wieku.

Wstydziła się samej siebie. Takiemu to człowiekowi ofiarowała swój majątek, jako wynagrodzenie za krzywdę jaką mu wyrządziła! Czemże był ten jej majątek w porównaniu z majątkiem właściciela kuźnic? Kroplą wody w morzu! Uczuła teraz jak jej pycha była zarazem rażącą i śmieszną; wyobrażała sobie że Filip musi nią pogardzać, i to przekonanie dręczyło ją niewymownie. Umiała jednak ukrywać swój smutek z zadziwiającą mocą duszy, idąc w tem za przykładem męża.

Wszakże uczucie jej dla Filipa często mimo jej woli zdradzało się w drobnych szczegółach. Twarz jej wyrażała najżywszą radość przy każdem z nim spotkaniu, wzrok jej ścigał go wszędzie, usiłowała odgadywać myśli, uprzedzać jego życzenia.

Pewnego dnia rano, gdy Zuzanna stojąc za nią na tarasie, sprzeciwiała jej się żartem, muskając ją po szyi kłosem owsa, Klara przechyliła się nagle, schwyciła ją za ręce i przyciągnęła do siebie. Filip pił kawę z najobojętniejszą miną, ścigając wzrokiem jaskółki krążące w powietrzu. Klara ujęła główkę dziewczęcia w swe dłonie, i czas jakiś patrzyła na nią z rozczuleniem; potem przyciskając usta do czoła Zuzanny, szepnęła z westchnieniem:

— Droga moja, jakżeś ty podobna do brata!

Filip usłyszał to i zadrżał. Nigdy jeszcze z serca Klary nie wyrwało się nic tak prosto, tak wyraźnie skierowanego ku jego sercu. Siedział przez chwilę nieruchomy, potem oddalił się nie przemówiwszy jednego słowa. Pani Derblay otarła łzy błyszczące w jej oczach.; Zuzanna rzuciła jej się na szyję z wybuchem czułości:

— Płaczesz! zawołała, płaczesz! Co ci się stało? O! powiedz.... Wszak wiesz jak cię kocham... Może Filip zrobił ci jakąś przykrość? Ale to chyba pomimowolnie, i dość byłoby wyrzec słówko... Czy chcesz abym mu je powiedziała?...

— Nie! zawołała z żywością Klara, zmuszając się do uśmiechu. Jestem dziś trochę rozdrażniona.. Filip zawsze bardzo dla mnie dobry, i jestem bardzo szczęśliwa, dodała poważnie patrząc na Zuzannę, jakby chcąc tym sposobem silniej jeszcze ugruntować to przekonanie w jej umyśle. Następnie zawołała wesoło, podnosząc się:

— Przejdźmy się trochę.

I udały się do parku biegnąc jak szalone, i śmiejąc się jakby żadnej z nich nic nie ciężyło na sercu.

Był to jeden z ostatnich dni, przynajmniej względnie szczęśliwych dla Klary. Nazajutrz książę i księżna de Bligny przyjechali do la Varenne.

Wieść o ich przybyciu sprawiła Klarze prawdziwą przykrość; miała nadzieję że ich już nigdy nie zobaczy. Dostrzegłszy że Filip zwracał na nią baczniejszą uwagę, starała się okazywać zupełnie spokojną. Tegoż samego dnia wieczorem, Filip korzystając z nieobecności Zuzanny, zaczął z nią mówić o stosunkach jakie wypadnie zachować z mieszkańcami la Varenne.

— Po twoim bracie, książę de Bligny jest twym najbliższym krewnym, rzekł spokojnie. Rodzina twoja nie zerwała z nim jawnie, i ty sama przed naszym ślubem starałaś się utrzymać z nim dobre stosunki. Nie zdaje mi się aby było rzeczą właściwą zmieniać obecnie ten sposób postępowania. Jeźli tylko książę i księżna de Bligny przyjadą do nas, to według mego zdania, powinniśmy ich przyjąć jak twoich krewnych, to jest jak najlepiej. Postępując inaczej narazilibyśmy się na różne wnioski których pragnę uniknąć; jednak nie mam zamiaru narzucać ci mego sposobu widzenia, wszak jest to kwestya obchodząca cię bliżej niż kogobądź innego. Zechciej mi oznajmić swoje życzenia, a zastosuję się do nich.

Klara milczała zamyślona. To nowe wmięszanie się w jej życie Atenais i księcia, wydawało jej się przepowiednią jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa; przeczuwała że wraz z nimi wejdze do jej domu jakieś wielkie, niepowetowane nieszczęście. Chciała powiedzieć wszystko, otworzyć swe serce, może błagać o przebaczenie... zabrakło jej odwagi, i zgodziła się ślepo na żądanie Filipa.

— Tak, masz słuszność, rzekła, iż trzeba ich przyjąć uprzejmie, i dziękuję ci że chcesz zadać sobie ten przymus. Zechciej mi wierzyć że obecność księcia będzie dla mnie równie przykrą jak dla ciebie.

Filip odpowiedział ruchem głowy nie oznaczającym ani tak ani nie, i na tem skończyła się rozmowa.

XIII.

Książę nie zbyt chętnie przybył do la Varenne. Nie cierpiał wsi, był paryżaninem w całem znaczeniu tego słowa; dla niego jawory na bulwarach, i kasztany na Polach Elizejskich, przedstawiały aż nadto dostateczną ilość zieloności. Klub w którym przepędzał czas po południu i większą część wieczorów, stał się nieodzowną potrzebą jego życia. Nie lubił myśléć i miał wstręt do książek.

Skoro teść zaprowadził go do cieplarni w la Varenne, i pokazał mu z dumą przepyszny zbiór storczyków, zebrany z wielkim kosztem przez ogrodnika, do którego Moulinet przemawiał z uszanowaniem, książę spojrzał z roztargnieniem na ustawione symetrycznie doniczki, i rzekł obojętnie: „Bardzo ładne.” Następnie wyciągnął niedbale rękę, zerwał kwiat rzadki i kosztowny, i włożył go w dziurkę od guzika.

Ogrodnik struchlał prawie, widząc go zrywającego tak obojętnie kwiat którego wyhodowanie kosztowało tyle trudów i pieniędzy, i upuścił doniczkę, begonii którą chciał się właśnie pochlubić. Spojrzał surowo na Moulinet'a i wyszedł z cieplarni.

— Czy wiesz mój zięciu, że zerwałeś kwiat kosztujący piętnaście luidorów? odezwał się z uśmiechem były sędzia trybunału handlowego.

— Doprawdy? odpowiedział książę spokojnie. Cóż to znaczy? Nie sądzę aby był za drogim dla mnie.

Moulinet spojrzał krzywo na zięcia ale nie śmiał nic powiedzieć; obawiał się zięcia jakkolwiek usiłował nie okazywać tego. Książę umiał spojrzeniem nakazywać mu poszanowanie; dla tego też powiedział do jednego z swych znajomych: „Pomimo wszelkich naszych usiłowań, nie potrafimy nigdy stanąć na równi z tymi ludźmi!” A jakkolwiek wiele prawił o równości, zwłaszcza odkąd zapragnął być wybranym do Izby deputowanych, nie czuł się nigdy równy księciu.

Nie powiodło mu się w cieplarniach, ale miał nadzieję że stajnie uczynią silniejsze wrażenie. Stało tam dwanaście koni wierzchowych i powozowych, które Moulinet zapłacił bardzo drogo, zachęcony pochwałami swego stangreta.

Zabudowania gospodarskie w la Varenne są bardzo wspaniałe, wystawione z cegły w stylu maurytańskim, co podobało się niewymownie byłemu fabrykantowi czekolady. Mówiąc o nich wyrażał się zwykle: „Przypomina to bardzo Alhambrę lub nowe kollegium Chaptal ”

Dziedziniec, szeroki na dwieście metrów, otaczały ze wszystkich stron budynki przeznaczone na stajnie, wozownie, zachowania na siodła i zaprzęgi oraz obrok dla koni. Na dziedziniec wchodziło się przez okazałą bramę, obsadzoną w kamiennych słupach i ozdobioną bronzowemi końskiemi głowami. Wzdłuż budynków ciągną się arkady przysłaniające chodniki, szerokie na trzy metry, wyłożone marmurowemi płytami. Każda arkada zamknięta była biało malowaną baryerką, aby można była oprzéć się na niej patrząc na konie które ujeżdżano.

Księżna towarzyszyła ojcu i mężowi do stajni, w sukni fularowej z kołnierzykiem z weneckich koronek, trzymając w ręce obciążonej pierścionkami, duży parasolik. Korzystając z mat starannie wyplecionych ze słomy, zbliżyła się do każdej klatki z osobna i przyglądała się stojącym w nich koniom, których nazwiska miały być wypisane na zawieszonych już w tym celu nad klatkami blachach. Książę pochwalił urządzenie stajni, ale konie wcale mu się nie podobały; pierwszy stangret napróżno czekał na pochwały. Książę, zaraz na pierwszy

rzut oka dostrzegał wady każdego konia, i zaniepokoił tem bardzo pana Moulinet.

Wieczorem przyszło z tego powodu do rozprawy, z której starszy stangret musiał wyprowadzić wniosek, że zięć pana Moulinet zbyt dobrze zna się na koniach, aby można było nadal kupować po sześć tysięcy franków, konie, nie warte więcej jak po ośmset. Książę wydał są w kilku słowach, któremi zdobył sobie szacunek stangreta:

— Okradaj pana, kochanku, rzekł, to rzecz bardzo naturalna, ale nie *oszkapiaj* go przynajmniej.

Moulinet po zaprezentowaniu zięciowi stajni i cieplarni, wyczerpał już wszelkie rozrywki przygotowane dla księcia, który nudził się tak śmiertelnie w towarzystwie żony i teścia, że aż zapragnął samotności, i codzień po śniadaniu zamykał się w swym gabinecie. Tam wyciągnąwszy się na wygodnej sofie, zasypiał snem kamiennym. Po tygodniu takiego życia, czuł że nie potrafi znieść go dłużej, że złośliwe i niegrzeczne docinki nasuwają mu się gwałtem na usta, i zamierzał już oznajmić żonie i teściowi że pilne interesa powołują go do Trouville, gdy Atenais wspomniała że wypada im pojechać do Pont-Avesnes.

To żądanie zadziwiło księcia, i w pierwszej chwili sprawiło mu przykrość. Wspomnienie Klary zatarło się już w jego sercu, ale wspomnienie o właścicielu kuźnic przechowało się dotąd. Żona stała mu się obojętną, ale miał złość do męża. Za co? Może sam nie umiałby na to odpowiedzieć. Może dla tego że dopomógł Klarze do wyrządzenia mu publicznie zniewagi, lub też że w niczem nie byli do siebie podobni. Słowem był ciągle nieprzyjaźnie usposobionym dla pana Derblay, którego zawsze nazywał kowalem.

Był jednak ciekawym poznać losy tego małżeństwa, zawartego w tak dziwnych warunkach, dla tego też towarzyszył dość chętnie żonie i teściowi do państwa Derblay. — Podróż moja opóźni się tylko o jeden dzień, pomyślał, dla czegóż więc nie miałbym okazać się grzecznym dla tej biednej Klary? Należy się jej to ode mnie.

Utworzył sobie dziwne wyobrażenie o życiu jakie wiodła obecnie ta która była kiedyś jego narzeczoną, i użalał się nad nią. Pewny był że jest ono arcy-trywialnem pozbawionem wszelkich przyjemności, poddanem wyłącznie handlarskim zajęciom. O mało co nie wyobraził sobie swej dumnej kuzynki nad rachunkowemi księgami męża, w wielkich mankietach z czarnego perkalu, osłaniających rękawy sukni.

Widział Pont-Avesnes tylko wieczorem, zadziwił się więc wjeżdżając na piękny wielki dziedziniec, ozdobiony klombem krzewów i kwiatów, rozciągający się przed pałacem wspaniałej i poważnej powierzchowności. Służba zdawała mu się dobrana i w dostatecznej liczbie. Okazałe salony były urządzone z wytwornym smakiem i przepychem, musiał też przyznać że urządzenie domu pana Derblay nie pozostawiało nic do życzenia. Zmięszał się zobaczywszy Klarę.

Nie była to dawna Klara. Kobieta którą teraz zobaczył nie była piękniejszą, ale była inną: poważną, pełną prostoty, a wyraz oczu tchnął pewną przewagą odbierającą mu zwykłą jego śmiałość. Pan Derblay musiał nie podobać się księciu, już przez to samo że nie mógł mu nic zarzucić. Teraz dopiero spostrzegł że właściciel kuźnic nosił wstążeczkę legii honorowej. Dzięki uwagom nasuwającym mu się na myśl, de Bligny mówił mało, z zastanowieniem, i temu też zawdzięczał że zaraz od pierwszej chwili nie obudził podejrzeń Filipa.

Książę był milczący i posępny wracając do la Varenne, ale za to przy obiedzie mówił bardzo wiele i z gorączkową żywością. Wesołość jego była nienaturalną, żartował z panem Moulinet i okazywał się najlepszym w świecie zięciem. Apatia jego znikła nagle, a nazajutrz nie wspomniał ani słówka o niezbędnej podróży do Trouville.

Wprawdzie zamknął się zaraz po śniadaniu w swym gabinecie, ale nie zasnął ani na chwilę. Leżąc na sofie, przez większą część dnia palił wschodnie cygarety, uspasabiające się do marzeń. Ścigał wzrokiem niebieskawy dym unoszący się w górę, jakby wśród lekkich jego kłębów dostrzegał jakąś postać dla niego tylko widoczną. Ukazywała mu się twarz Klary, taka jaką teraz była. Zamykał oczy i widział ją ciągle.

To widzenie prześladowało go tak natarczywie, że w końcu zapragnął wyzwolić się od niego. Kazał osiodłać jednego z koni kupionych tak drogo przez pana Moulinet'a a mających tak małą wartość i zapuścił się w głąb parku dozwalając wierzchowcowi iść gdzie mu się podoba.

Była już siódma godzina i w lesie zaczynał się odzywać jakiś szmer nieokreślony. Przebiegające króliki poruszały liście i drobne gałązki, a od czasu do czasu przestraszona sroka, z ostrym krzykiem zrywała się z wierzchołka wysokiego dębu. Dzień był skwarny, ale zbliżający się wieczór przynosił chłód rozkoszny. Z ziemi unosiła się woń orzeźwiająca, a złote promienie słońca chylącego się ku zachodowi, przedzierały się przez zielone drzew konary.

Książę otrząsnął się z otrętwienia, spiął konia ostrogami i popędził galopem. Nie spostrzegł nawet kiedy wyjechał z parku i wjechał do lasu. Śliczne widmo zrodzone w jego wyobraźni, biegło ciągle przed nim i pociągało go za sobą. Koń wyprowadził go z lasu, i wtenczas zobaczył długi mur przez który przechylały się gałęzie wielkich drzew. Szeroka ulica zakończona głębokim rowem przecinała gęstwinę; książę zwrócił się machinalnie w tę stronę. Przed jego oczyma rozwijał się wielki trawnik, a za nim ukazał się wspaniały pałac. Bligny zadrżał; poznał że to Pont-Avesnes.

Tak więc traf zbliżył go do tej przed którą uciec usiłował! Czyby fatalizm chciał połączyć tych których rozłączył?

Bligny uśmiechnął się. Przypomniał sobie co powiedział do barona w dzień ślubu Klary: „Od czasów Wulkana, kowale nie są szczęśliwi w małżeństwie!" Zapomniał o młocie którym zagroził mu baron; zresztą czyż niebezpieczeństwo mogło powstrzymać księcia od chęci zaspokojenia jakiejś fantazyi? Pojechał dalej stępa i dzięki powziętemu postanowieniu, wrócił spokojniejszy do la Varenne.

Nic nie mogło być groźniejszem dla spokojności pana Derblay, nad obecne zamiary księcia. Klara stawiona między zimną powagą Filipa i nęcącym, pieszczotliwym wdziękiem obejścia Gastona, znajdowała się — jeżli nie w nieuchronnem niebezpieczeństwie — to co najmniej w nader trudnem położeniu.

Widocznie, przyjmując księcia z tak spokojną życzliwością, właściciel kuźnic miał w tem jakieś nieznane zamiary. Nader łatwoby mu było odsunąć się powoli od rodziny żony, i owe ściśle od pierwszej chwili stosunki, ograniczyć do prostych odwiedzin sąsiednich. Nie łatwo było podejść lub wywieść w pole Filipa, jeżli więc przyjmował tak chętnie niezwykłe oznaki poufałej przyjaźni księcia i Atenais, to zapewnie musiały one posługiwać jego planom.

W ciągu tych długich godzin jakie Filip przesiedział przy łożu umierającej Klary, rozważył dobrze wszelkie okoliczności poprzedzające jego ożenienie. Pojął teraz z jak zaciętą zawiścią Atenais dręczyła swoją rywalkę—i złożył na nią część odpowiedzialności—a im księżna zdawała mu się winniejszą, tem więcej tłomaczył Klarę. Pomimo to uznał stosownem nie zmieniać dotychczasowego surowego z nią postępowania.

Walka jaką staczali z sobą, powinna zakończyć się zupełnem jego zwycięztwem. Należało dumną Klarę stanowczej poddać próbie, dać jej uczuć straszny odwet za niezasłużoną wyrządzoną mu obelgę. Czuł że Atenais miała odegrać rolę w tej niebezpiecznej walce, jaka miała stoczyć się między nią a Klarą, między nim a księciem... I przewidywał że będzie ona zaciętą, pełną zdradzieckich zasadzek i groźnych niespodzianek. Kto wie czy nie skończy się śmiercią jednego z uczestników.

Nie zawahał się jednak — a zresztą cóż miał do stracenia?... Życie jego było zwichnięte—szczęście stracone, mógł więc tylko zyskać na tej próbie. Ale zarówno przezorny jak stanowczy, nie zaniedbał nic coby mogło zapewnić mu powodzenie. Pozornie Klara zdawała się opuszczoną i pozostawioną samej sobie, ponieważ on nie mógł jawnie opiekować się nią i bronić, postanowił zatem zapewnić jej wiernego sprzymierzeńca, i w tym celu zaprosił na kilka tygodni do Pont-Avesnes, baronową i jej męża. Tym sposobem zrównoważywszy siły obu stron wojujących, należało czekać już tylko rozpoczęcia walki.

W pierwszych zaraz dniach po przybyciu Atenais, łatwo było poznać że księżna zamierzała spowodować najzupełniejszy przewrót w tym tak spokojnym dotąd prowincyonalnym zakątku. La Varenne stało się środkowym punktem, w którym rozlegały się nieustannie głośne okrzyki wesołych zabaw i uciech, któremi Atenais chciała zaznaczyć swoją obecność. Tak świeżo przybyła w te strony, zapragnęła przecież wszechwładnie zapanować nad całą okolicą, za pomocą niezmiernego przepychu, zabaw, balów, i własnej ekscentryczności.

Zaprosiła z Paryża dwóch swoich wielbicieli, otyłego La Bréde i małego du Tremblays, najlepszą parę ze swej słynnej szóstki: „Jak na wieś, będą oni aż nadto dostateczni, mówiła śmiejąc się; zaprzężeni z dzwonkami, jak poczta, dobry sprawią efekt."

I rzeczywiście ci dwaj nierozłączniki, z osobna marnie bardzo wyglądający, połączeni zadziwiającą tworzyli grupę, uwydatniając wzajemną swoją nicość, tak niby jak dwa przeczenia tworzą jedno twierdzenie. Przywieźli z sobą wszelkie przybory do kotiliona, a z gier modnych *lawn-tennis* i *polo*— i jak gdyby dyabeł paryzki wyskoczył z ich podróżnych walizek, zaledwie się ukazali w la Varenne, rozpoczęło się tam jakieś szalone, jakby piekielne życie.

Znalazła się w Besançon jaka taka orkiestra złożona z dziesięciu muzykantów, księżna sprowadziła ją do la Varenne, gdzie tańczono co wieczór. Młodzież okoliczna dowiedziała się z niewymownem zadziwieniem, że księżna de Bligny zamierzała całej okolicy nastręczyć możność nieustającej zabawy, to też ze wszystkich stron ciągnęły do la Varenne powozy, bryczki, szarabany i najróżnorodniejsze wehikuły, z których wiele sięgało czasów restauracyi. Rumiana szlachta, silna i zdrowa, rzucała kule *lawn-tennis*, posuwała prędko po murawie gałki gry *polo*, a wieczorem tańcowała niezmordowanie.

— Wiesz co, księżno, że ci twoi sąsiedzi muszą być silni jak dęby, zawołał otyły La Bréde; tancerki swoje unoszą jak piórka, a prócz tego cały dzień uganiają się bez odpoczynku. Doprawdy, bierze mnie ochota zabrać kilku do Paryża na sezon zimowy... Zdaliby nam się do kotyliona... i myślę że byłby to towar poszukiwany i popłatny.

— Tak, tylko na nieszczęście, rzekł mały du Tremblay, ci muskularni i krwiści prowincyonaliści nie nadają się do Paryża; po upływie zaledwie sześciu miesięcy, bledną, i wycieńczeni, stają się jeszcze słabsi niż sami Paryżanie... Zły to gatunek, nie dający się zaaklimatyzować.

Gdy dwaj Paryżanie debatowali nie żartem o możliwości przeflancowania prowincyonalnych tancerzy na grunt paryzki, muzykanci grali zawzięcie, a młodzież z Besançon i okolicy, nie troszcząc się o uwagi ani krytyki, tańcowała zawzięcie z wielkiem zadowolnieniem Moulinet'a.

Były sędzia trybunału handlowego, nie posiadał się z radości, widząc jak gorliwie córka jego ściągała do pałacu całe wyższe towarzystwo z całego okręgu; kandydat myślał sobie: „ilu zaproszonych, tylu wyborców.” Popychał też Atenais w tym kierunku, otwierając jej kredyt nieograniczony. Podczas gdy panie i panny tańczyły, on zjednywał sobie ich ojców, mężów i braci. Niepokoiło go tylko że ani prefekt, ani jenerał głównodowodzący nie bywali na wieczorach księżnej. A może, myślał sobie, prefekt uważa salon Atenais za zbyt arystokratyczny? Co do jenerała, ten dostawszy naganę za to iż patrzył przez szpary że żołnierze prezentowali broń podczas procesyi, wolał unikać salonów księżnej. A nuż zarzuconoby mu że jest złym republikaninem skoro bywa u arystokratów?

— Ciekawam co to ojca obchodzi, że prefekt nie bywa, rzekła Atenais, skoro masz za sobą całą administracyę? Chcesz mu dokuczyć? — osmaruj go w swoim *Kurjerze*. Mogę polecić la Bréde aby napisał artykuł; skomponujemy na niego jakąś niebywałą historyę... Zobaczysz jak to będzie pociesznie... A co do jenerała, dla ciebie jest on zerem, przecież żołnierze jego nie głosują.

Atenais miała daleko większy kłopot niż jej ojciec—pani Derblay wymówiła się że nie może bywać na sobotnich wieczorach, gdyż nie przyszła jeszcze zupełnie do siebie po tak ciężkiej chorobie. Księżna nie posiadała się ze złości; głównie dla tego wydawała zabawy, aby zniewolić Klarę do bywania na nich—i wyrachowania te ją zawiodły; — to też miewała godziny tak złego humoru, iż paraliżowało to wesołość całego otoczenia. Nie módz zaćmić rywalki swym niesłychanym przepychem i zbytkiem; tysiąc sztyletów utkwić w jej sercu, stając przed nią wsparta na ramieniu tego którego jej wydarła; nie widzieć przejmującego ją dreszczu ilekroć usłyszy jak ją nazywają księżną—to wszelkim zabawom cały odejmowało urok. Może nienawiść jaką uczuwała do Klary, zaspokoiłaby się widokiem jej poniżenia i znoszonych męczarni, wzmagała się zaś przeciwnie przez stawiany opór i spokój jaśniejący na dumnem czole młodej kobiety.

Pewnego razu, Klara przyjechała na obiad do la Varenne, a całe jej zachowanie było nadzwyczaj zręczne i pańskie. Obok tej szlachetnie wykwintnej kobiety, rozrucona i zbyt swobodna w obejściu Atenais, przedstawiała się czem była rzeczywiście: osóbką źle wychowaną, robiącą i mówiącą co jej przyszło do głowy, z czelną śmiałością milionowej dorobkiewiczówny. Porównanie wypadało całkiem na korzyść Klary.

Rozumiała to Atenais i przyrzekała sobie straszny odwet. Młoda ta i ładna brunetka, z błyszczącemi oczami i wdzięcznym na ustach uśmiechem, była najzłośliwszą, najprzewrotniejszą istotą; gdyby nie obawa ciężkiej odpowiedzialności, byłaby zdolną oblać witryolem prześliczną twarzyczkę Klary, aby oszpecić ją na zawsze i wypalić te urocze i pogodne oczy, tak pogardliwie patrzące na nią.

Gniewały ją i drażniły niesłychanie zgoda i najlepsza harmonja, zdające się panować między państwem Derblay. Mąż był uprzedzający, czuły, baczny na każde skinienie, żona kochająca, pragnąca odgadywać jego myśli. Patrząc na Klarę, widząc uśmiech pojawiający się na jej ustach ilekroć Filip zbliżył się do niej i zdawał się swoją otaczać opieką — nie można było wątpić że go kochała — i niezawodnie była kochaną wzajemnie. Mógłżeby Filip nie kochać, nie uwielbiać istoty tak doskonałej, jednoczącej w sobie wdzięki fizyczne i piękność moralną. A potem, wiedziała przecież że ożenił się z nią z miłości, poddając się upokarzającemu położeniu, biorąc pannę ubogą, porzuconą przez księcia. Tak, poświęcił bardzo wiele byle ją posiąść, jak gdyby była jakimś rzadkim, nieocenionym skarbem.

Tak więc danem było Klarze aby wszyscy ją kochali, kiedy ona przeciwnie wszystkim mężczyznom była obojętną. Wprawdzie i do niej się zalecano, ale czemże były te pochlebstwa, ta salonowa galanterya, te chwilowe zachciewki jakie budziła, w porównaniu ze szczerą, głęboką i niezmienną miłością jaką kochano Klarę?

Podniecona zawiścią, Atenais szczególną, wyróżniającą uprzejmością otaczała pana Derblay. Aby mu się podobać stała się poważną, nie opuszczała go prawie cały wieczór — i rzeczywiście bardzo jej się podobał. Ze swą ogorzałą cerą, czarnemi krótko przystrzyżonemi nad czołem włosami, i wielkiemi czarnemi oczami, wydał jej się podobnym do Araba. Nagle uczuła się mocno zmięszaną — nigdy do tąd żaden mężczyzna tak silnego na niej nie wywarł wrażenia. I pomyślała iż jeźliby zdolną była pokochać kogoś—to tylko Filipa. I podniecona samą myślą jak straszny cios zadałaby Klarze wydzierając jej serce męża, dała się unieść wrodzonej zalotności, z zapałem jaki ją samą zadziwiał.

I szatańskiej zakosztowała rozkoszy, widząc jak Klara posmutniała i z niepokojem śledziła jej obroty. Wyczytawszy z czoła znienawidzonej współzawodniczki, trwogę i boleść, zrozumiała że odkryła słaby punkt w osłaniającym ją puklerzu, i że uda jej się może w miejsce to wymierzyć cios śmiertelny.

Co do Filipa, ten zachowywał się jak człowiek dobrze wychowany, widzący się przedmiotem pochlebnego wyróżnienia przez gospodynię domu. Aż nadto wyraźne grzeczności księżnej, przyjmował z najzupełniejszą swobodą; przyjął ramię które mu podała aby przejść się po salonach i rozmawiał z ponętnym wdziękiem; był o tyle nadskakującym aby się wydał przyjemnym, o tyle chłodnym aby nikt nie mógł pomyśleć ze z księżną rozmawia inaczej jak z innemi kobietami.

Jednak pomimo że umiał panować nad sobą, baczny dostrzegacz poznałby że miota nim gwałtowny niepokój. Podczas gdy zalecając się do niego, księżna ujęła go pod rękę pokazując salony i cieplarnie, spostrzegł że de Bligny zbliżył się zwolna do Klary, i pochylony na poręcz jej fotela, mówił coś z uśmiechem. Po raz pierwszy widział Klarę i Gastona tak zbliżonych do siebie, bez świadków rozmawiających z sobą. Zadrżał i krew gwałtownie uderzyła mu do głowy. Przez minutę cierpiał tak strasznie iż mimowolnie ramię jego drgnęło silnie, przyciskając gwałtownie rękę księżnej. Spojrzała na niego z zadziwieniem. Znajdowali się właśnie w tak zwanej przez Moulinet'a „podzwrotnikowej cieplarni” w której w pośród wilgotnego gorąca, rosły zjadliwe rośliny z Indyi i z Afryki.

— Co panu jest? zapytała, odwzajemniając się uściśnieniem dłoni Filipa. I uśmiechnęła się słodko.

— Odurzająca woń tych roślin i gorąco panujące w cieplarni, sprawiły mi zawrót głowy, odpowiedział spokojnie odzyskując moc nad sobą; jeźli księżna pozwoli, wrócimy do salonu

Wolnym krokiem odprowadziwszy księżnę, powrócił i nie spuszczał z oka Klary i księcia, rozmawiających z sobą.

Książę od obiadu nie pokazał się w salonie; wyszedł prowadząc gości do gabinetu przeznaczonego do palenia, w którym porozkładane były najrozmaitsze cygara i papierosy. Jednak po upływie pół godziny, oddalił się pod pozorem iż obowiązki pana domu zmuszają go do tego, zostawiając palących w obłokach gęstego dymu. Pragnął zbliżyć się do Klary, ale znając jej popędliwość, nie śmiał wprost stanąć przed nią. Zresztą pomimo swej czelności, w jej obecności czuł się zawsze mocno zakłopotany, nie śmiał więc przemówić, czując dobrze iż pierwsze zwrócone do niej słowa, wywrą stanowczy wpływ na późniejsze ich stosunki.

Może więc lepiej wstrzymać się jeszcze, zostawiając czasowi utrwalenie gruntu na jaki puścić się zamierzał — ale doszedł już do tego stopnia cynicznego egoizmu, że nie chciał odwłóczyć zadowolnienia jednej ze swych zachciewek. Szedł więc rozmawiając z przyjaciółmi, zatrzymując się chwilowo przy niektórych kobietach; jak ptak żarłoczny coraz więcej zacieśniając koła, jakie zakreślał około Klary. Tym sposobem doszedł po za jej fotel, i pochylając się zapytał pieszczotliwym głosem:

— Czy czujesz się dziś zupełnie dobrze? Drżąc prawie przychodzę zapytać o to, bo obawiam się że zbliżenie się moje jest ci niemiłem.

Odwróciła głowę i odrzekła śmiało patrząc mu w oczy.

— I dla czegóż obecność twoja, kuzynie, miałaby być mi niemiłą? Czyżbym była w twoim domu gdyby tak było?

Książę smętnie wstrząsnął głową.

— Pierwszy to raz od czasu twego ślubu, możemy swobodnie pomówić z sobą, rzekł po chwili, i widzę że jeszcze nie powiemy prawdy. Będzie to udręczeniem całego mojego życia, że źle postąpiwszy względem ciebie, nie mam sposobności wykazać ci powodów, które może zdołałyby mnie wytłomaczyć.

— Ależ, kuzynie wierzaj mi, zupełnie nie potrzebujesz wytłomaczenia, odrzekła spokojnie Klara... Czyż robiłam ci jakie wyrzuty? i czy rzeczywiście mniemasz żeś na nie zasłużył? A! pozwól powiedzieć sobie że byłaby to kolosalna zarozumiałość.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 47.

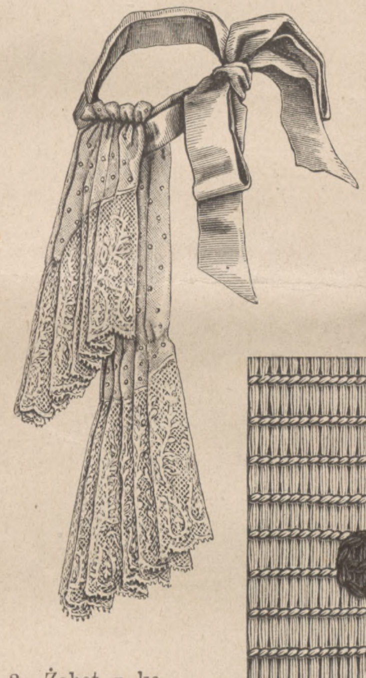
(Dalszy ciąg).

N. 20—21. Paletocik z krótką pelerynką, dla dziewczynki lat 5—7. Krój na arkuszu N. VI, fig. 28 do 32.



N. 1. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki lat 7—9.

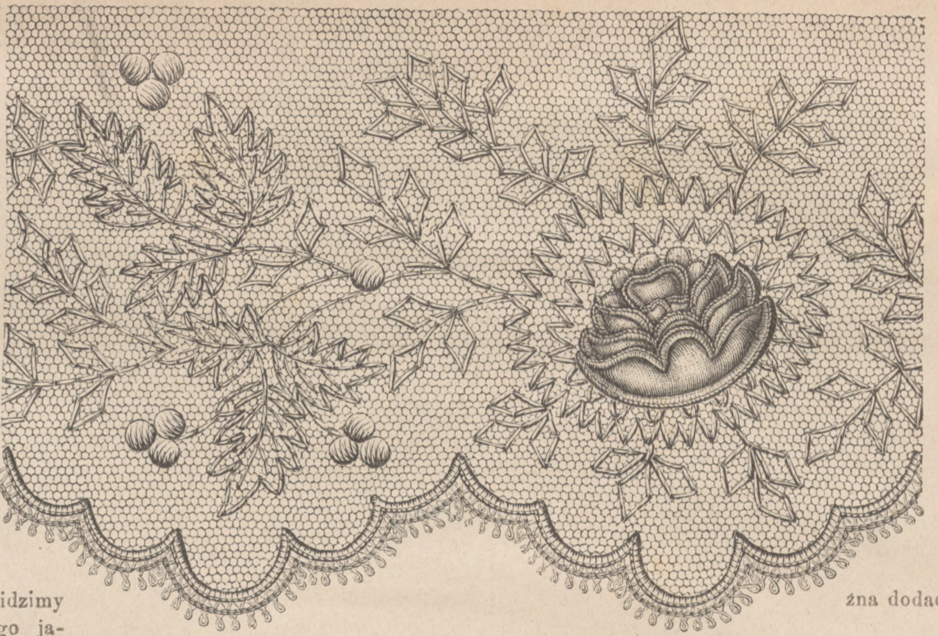
Obie ryciny przedstawiają paletocik jedną formą lecz odmiennie wykończony, na ryc. 20 widzimy model z cienkiego jasnego materyału, zakończony u dołu falbaną układaną w kontrafałdy, 12 cent. szeroką, której przyszycie przykrywa 7 cent. szeroki plumaż z bronzowych piórek; takież obłożenie dane przy pelerynce która z tyłu w środku przyczepia się do paletocika a z przodu zapina agrafką, poniżej stojącego kołnierza. Ryc. 21 przedstawia paletocik kaszmirowy, lekko podwatowany, na podszewce jedwabnej lub flanelowej; u dołu falbana 18 c. szeroka ułożona w kontrafałdy. Pelerynka i mankiety pluszowe.



N. 3. Żabot z koronką saską.

N. 22 i 48. Paletot z poczwórną pelerynką, dla panienki lat 10—12. Krój paletota jak do r. 25. Krój pelerynki na arkuszu N. XIII, fig. 79—81.

Fig. 79 do 80 daje formę czwartej największej pelerynki, na której linije proste oznaczają zwierzchnie mniejsze pelerynki; kołnierzyk stojący kraje się podług ig. 81 i poddaje podszewką równie jak spodnia czwarta pelerynka; brzegi zdobią rzędy stębnówki. Oryginalne zapięcie przodów, widoczne na ryc. 22 podaliśmy w naturalnej wielkości na ryc. 9 w N-rze 46; dwa ozdobne szmuklerskie guziki zapinają się na jedną podłużną dziurkę oszytą atłasem. Paletocik może być z szewiotu, korciku lub sukienka gładkiego, w kratkę albo w paski; pelerynkę i mankiety można dodać z pluszu.



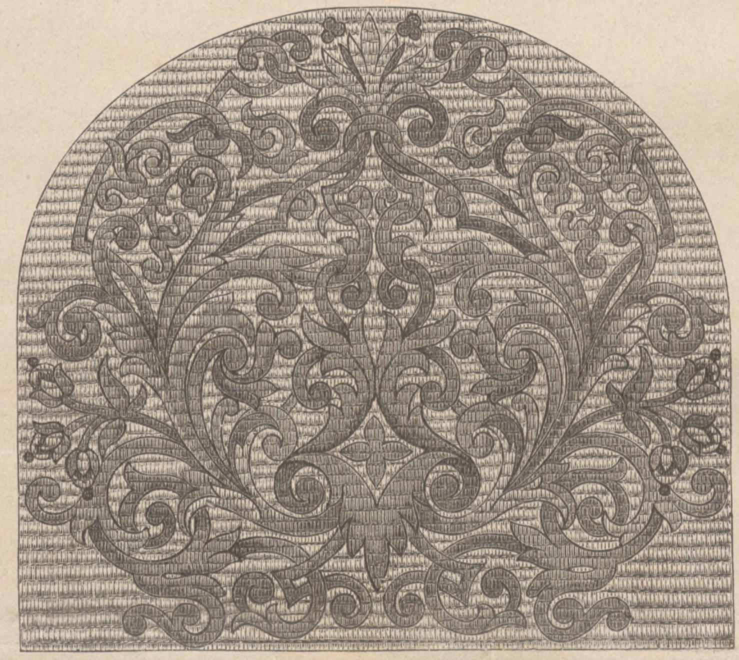
N. 4. Koronka z wypukłem haftem do ryc. 5. Patrz r. 6—7.



N. 2. Sukienka z draperyą dla dziewczynki lat 7—9. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 23—27.

N. 29—30. Suknia obłożona futrem i wyszyta pletnią. Patrz r. 18 w N-rze 46.

Ryc. 29 i 30 przedstawiają kostium zimowy odpowiedni na ślizgawkę lub do przejażdżki sankami uszyty z piaskowego sukienka wązko obłożony futrem i zdobny szerokiem wyszyciem z pletni, albo też z bronzowego maeryału szeroko obłożony pluszem bronzowym i wyszyty sznurem lub pletnią tegoż koloru. Ryc. 15 w N-rze 46 wskazuje rodzaj wyszycia pletnią w zmniejszeniu o trzecią część. Stanik z okrągłą baskiną można dopasować podług kroju do ryc. 33 i 34. Na spódnicy z przodu dana krótka draperya a z tyłu upięcie z dwóch prostych brytów po 55 cent. szerokich, 126 długich.



N. 8. Poduszka do krzesła. Patrz ryc. 9.



N. 5. Chusteczka tiulowa. Patrz ryc. 4—7. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 91.

N. 31. Suknia ze stanikiem à panier.

Wspaniały ten kostium odrobiony jest z bronzowego aksamitu,



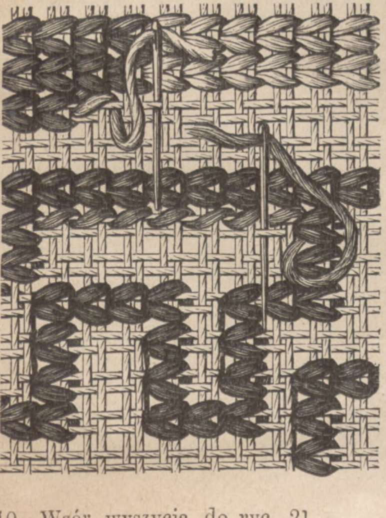
N 6a. Listek wewnętrzny do r. 4.



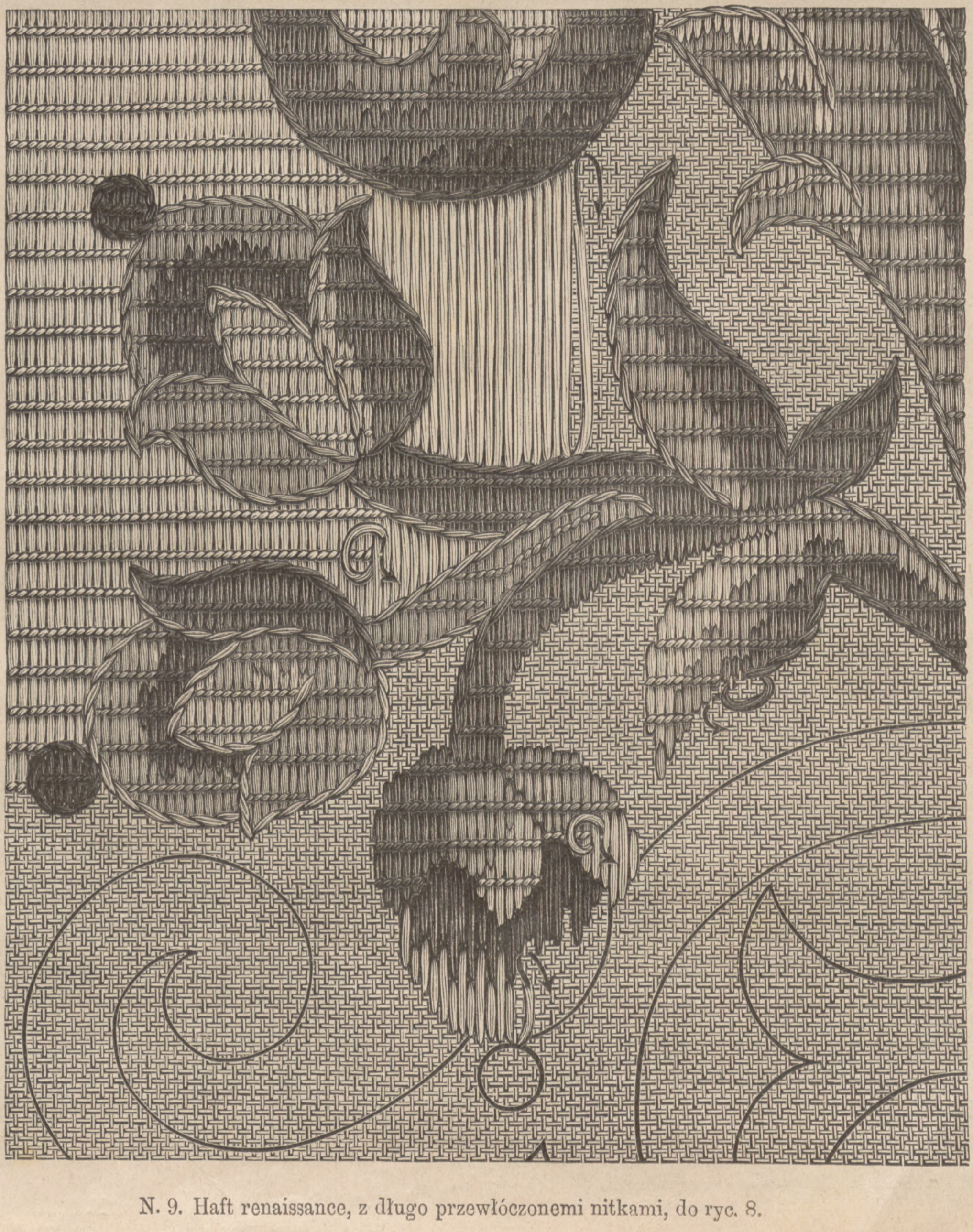
N. 6b. Listek środkowy do róży. Patrz ryc. 4 i 7.



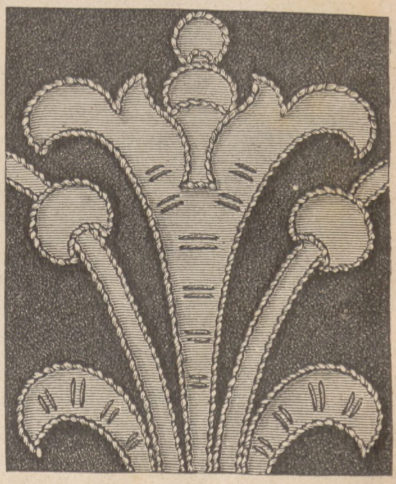
N. 7. Listek zwierzchni do róży wypukłej; patrz koronkę r. 4.



N. 10. Wzór wyszycia do ryc. 21, w N-rze 46.



N. 9. Haft renaissance, z długo przewłóczonemi nitkami, do ryc. 8.



N. 11. Część aplikacyi do ryc. 28, w N-rze 46.



N. 12. Agrafka dżetowa.

N. 13. Kapelusz „Cabriolet“ aksamitny zdobny koronką, wstążką i piórami. Patrz r. 18.

N. 22. Paletocik z poczwórną pelerynką. Patrz r. 48, tudzież r. 9 w N. 46. Krój pelerynki na arkuszu N. XIII, fig. 79-81.

N. 20—21. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 5-7. Krój na arkuszu N. VI, fig. 28—32.

N. 28. Bransoletka z różnorodnych metalowych obrączek.

N. 16 Kapelusz filcowy z rondem pluszowem.

N. 17. Kapotka aksamitna, z piórami i kwiatami.

N. 19. Szalik szydełkowy. Patrz r. 29 i 30 w N. 46.

N. 18. Kapelusz „Cabriolet“. Patrz ryc. 13.

N. 23. Paletot dla panienki lat 10 do 12. Patrz r. 45. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 73—78.

N. 14. Kapelusz filcowy z bufą aksamitną, zdobny wstążką i pomponami.

N. 26. Brosza z oksydowanego srebra.

N. 24—25. Paletocik dla chłopca lat 6—8. Krój i opis na arkuszu N. VII, fig. 33—38.

N. 27. Bransoletka z oksydowanego srebra.

[redacted]

N. 31. Suknia ze stanikiem á panier.

N. 29—30. Kostjum z obłożeniem futrzanem i wyszyciem z pletni lub sznureczka Patrz r. 18 w N. 46.

N. 35. Fasonik z rondkiem sznelowem.

N. 37. Płaszczyk z rękawami odstającemi na ramionach. Patrz ryc. 38.

N. 15. Kapelusz okrągły zdobny aksamitem, atłasem i piórem.

N. 39. Płaszczyk z krótkiem karoczkiem z tyłu. Patrz r. 61. Krój i opis na arkuszu N. X.

N. 36. Fasonik sznelowy.

N. 34. Suknia ze stanikiem wyszywanym. Krój na arkuszu N. IX, fig. 46—60. Patrz r. 33, tudzież r. 19 w N. 46.

N. 41. Szlak do ryc. 42.

N. 43. Płaszczyk z peleryną. Patrz r. 44. Krój na arkuszu N. XI, fig. 66—72.

N. 42. Sukieneczka dla dziecka lat 1—3.

N. 38. Plecy do ryc. 37.

N. 45. Przód do ryc. 23.

N. 46—47. Paletot z kapturkiem dla młodych panienek. Krój na arkuszu N. IV, fig. 18—22

N. 40. Przód do ryc. 39.

N. 48. Plecy do ryc. 22.

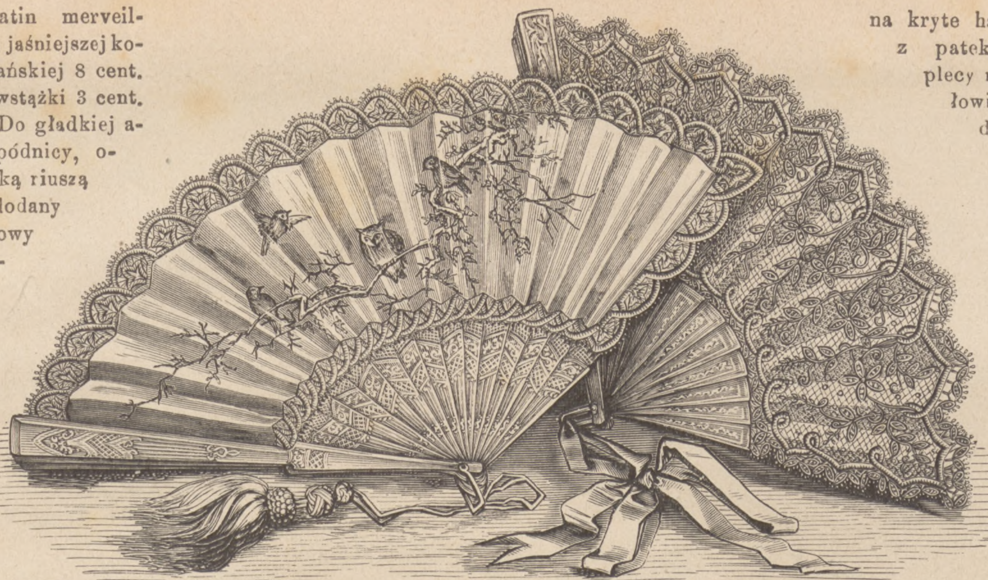
N. 49. Sukieneczka dla dziecka lat 1—3. Krój i opis na arkuszu N. XV, fig. 86—90.

N. 44. Płaszczyk z peleryną dla panienki lat 12—15. Patrz ryc. 43.

N. 50. Szlak wyszyty cieniowanym jedwabiem.

takiegoż satin merveilleux, trochę jaśniejszej koronki hiszpańskiej 8 cent. szerokiej i wstążki 3 cent. szerokiej. Do gładkiej aksamitnej spódnicy, obszytej szeroką riuszą atłasową, dodany stanik atłasowy z aksamitnem plastronem, z boków podpięty à panier, a z tyłu dopełniony upięciem z dwóch brytów 125 cent. długich, 55 szerokich, przewiązanych nakształt wielkiej szarfy i przyszytych na wierzchu baskiny.

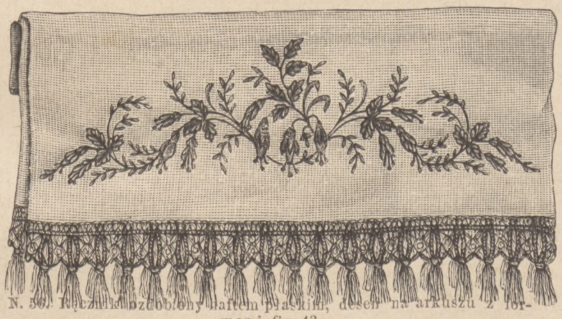

N. 51. Żabot z koronką saską.

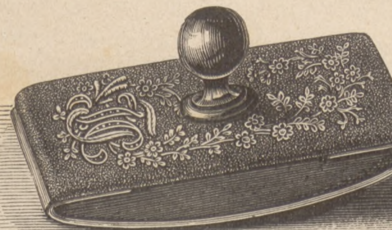

N. 53. Wachlarz malowany oszyty koronką. Patrz ryc. 55.
N. 54. Wachlarz koronkowy. Deseń na arkuszu N. VIII, fig. 39—40.

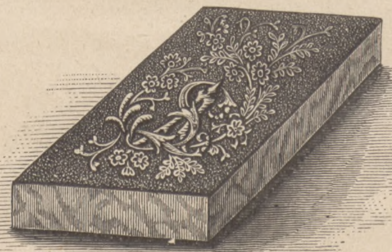

N. 52. Żabot z blondyną jedwabną.

N. 33—34. Suknia z wyszywanym stanikiem. Patrz r. 19 w N. 46. Krój i deseń na arkuszu N. IX, fig. 46—60.

Przedstawiamy przód i plecy jesiennego lub zimowego kostiumu, odpowiedniego na ubranie spacerowe lub domowe, który składa się ze spódnicy w dużą kolorową kratę i z gładkiego stanika ozdobionego wyszyciem ze sznura. Model był z materyału wełnianego w kratę ponsową z zielonem, a stanik (hussarde) z zielonego sukienka i aksamitu. Wyszycie dane z zielonego sutaszu; na ryc. 19 w N-rze 46 wskazujemy w naturalnej wielkości część wyszycia na kolnierzyk stojący, wraz z przyozdobieniem małemi okrągłem guziczkami; deseń do wyszycia na staniku zamieszczony jest na arkuszu z krojami: fig. 56 daje narcznik i część szlaku na przód, fig. 57 połowę patki, fig. 58 wyszycie na plecy 59—60 deseń do rękawa. Na fig. 55 daliśmy połowę arabesku zdobiącej dół aksamitnego plastronu wyszycie górne z sutaszu i guziczków łatwo narysować podług ryciny. Sutasz może być naszyty gładko lub jak moda wymaga stojąco. Przody stanika najpierw krają się z podszewki i zapinają środkiem na guziki; materyał zwierzchni, którego brzeg oznacza linija prosta na fig. 47, podszyty jest materyą i ma zaszewki przednie zastębnowane oddzielnie poczem przody z jednej strony zszywają się z aksamitnym plastronem a z drugiej zapinają z nim na kryte haftki. Każda z patek kończących plecy ma dodaną ołowianą plombę, dla gładkiego leżenia. Na spódnicy dane plisowanie 77 c. szerokie a drapery a zwierzchnia daje się w odstępie 35 cent. poniżej paska; przód (litera *a* na fig. 54) z boków sfałdowany do 34 cent. tylny bryt (b) ma górny brzeg puszczony wolno, boczne zaś sfałdowane i przyszyte szwem odwracanym na spódnicy.


N. 56. Ręcznik ozdobiony haftem płaskim, deseń na arkuszu z formami, fig. 43.


N. 58. Pismosuszka. Haft złotem, patrz fig. 42.


N. 59. Przycisk. Patrz ryc. 60.


N. 57. Ręcznik z szerokim szlakiem.


N. 60. Haft złotem do ryc. 59.


N. 61. Krawatka z jedwabnemi pomponami.

N. 35—36. Fasony modnych kapeluszy.

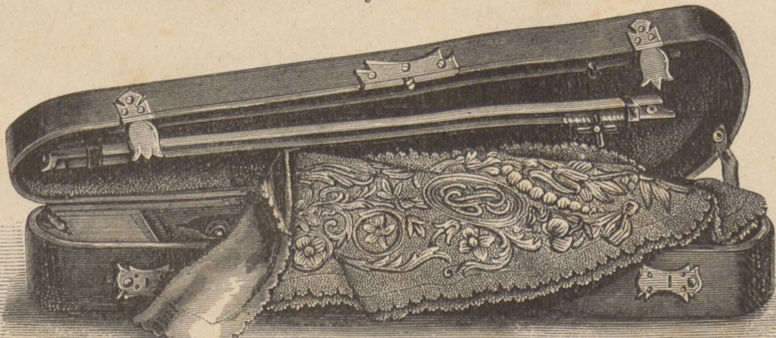
Moda, która na lato dostarczyła kapeluszy z ażurowej słomki, na zimę przedstawia modele plecione ze szneli obrabianej na druciku; ryc. 36 podaje kapotkę ze szneli granatowej w dwóch cieniach, a na ryc. 35 widzimy fason z główką pokrytą gładko oliwkowym pluszem a z rondkiem plecionem z jedwabnego sznura i szneli. Do takich kapeluszy potrzeba mało przybrania, dość pięknej kokardy lub pióra; końce do wiązania z szerokiej wstążki.

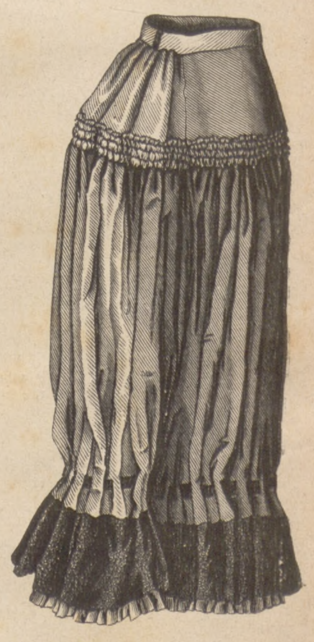
N. 37—38. Płaszczyk z rękawami odstającemi na ramionach. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 92. (Numera figur omylone na arkuszu z krojami i fig. 93 naznaczona zamiast 92 i odwrotnie.)

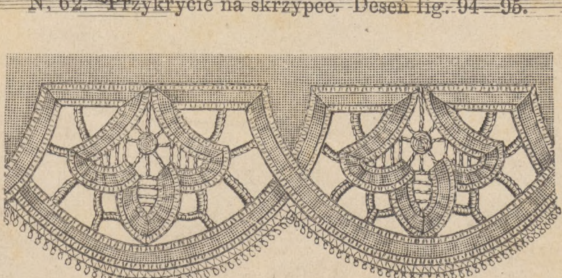
Odrobiony z kosztownej brokateli jedwabnej w aksamitny deseń. Boczek *b* krajany wraz ze zwierzchnią połową rękawa, odstającego wysoko na ramieniu, podług wymagań obecnej mody, może być krajany o 10 cent. krócej a w takim razie rękaw będzie leżał płasko; spodnią część rękawów kraje się podług linii kropkowanej. Część naddana nad fałdy przy plecach (litera c) nie podwatowywa się wcale i nie pikuje, pod płaszczyk zaś daje się materyę lekko podwatowaną i pikowaną w kratki lub w pasy, podług r. 13—15 w N. 46. Część fałdowana, wstawiona środkiem pleców, dana jest z atłasu, użytego również na fałdowany wykład przy rękawach 15 c. szeroki i na riuszę w koło szyi 8 cent szeroką. Przyozdobienie stanowią rozety szmuklerskie i kokardy z wstążki atłasowej z morowym spodem.

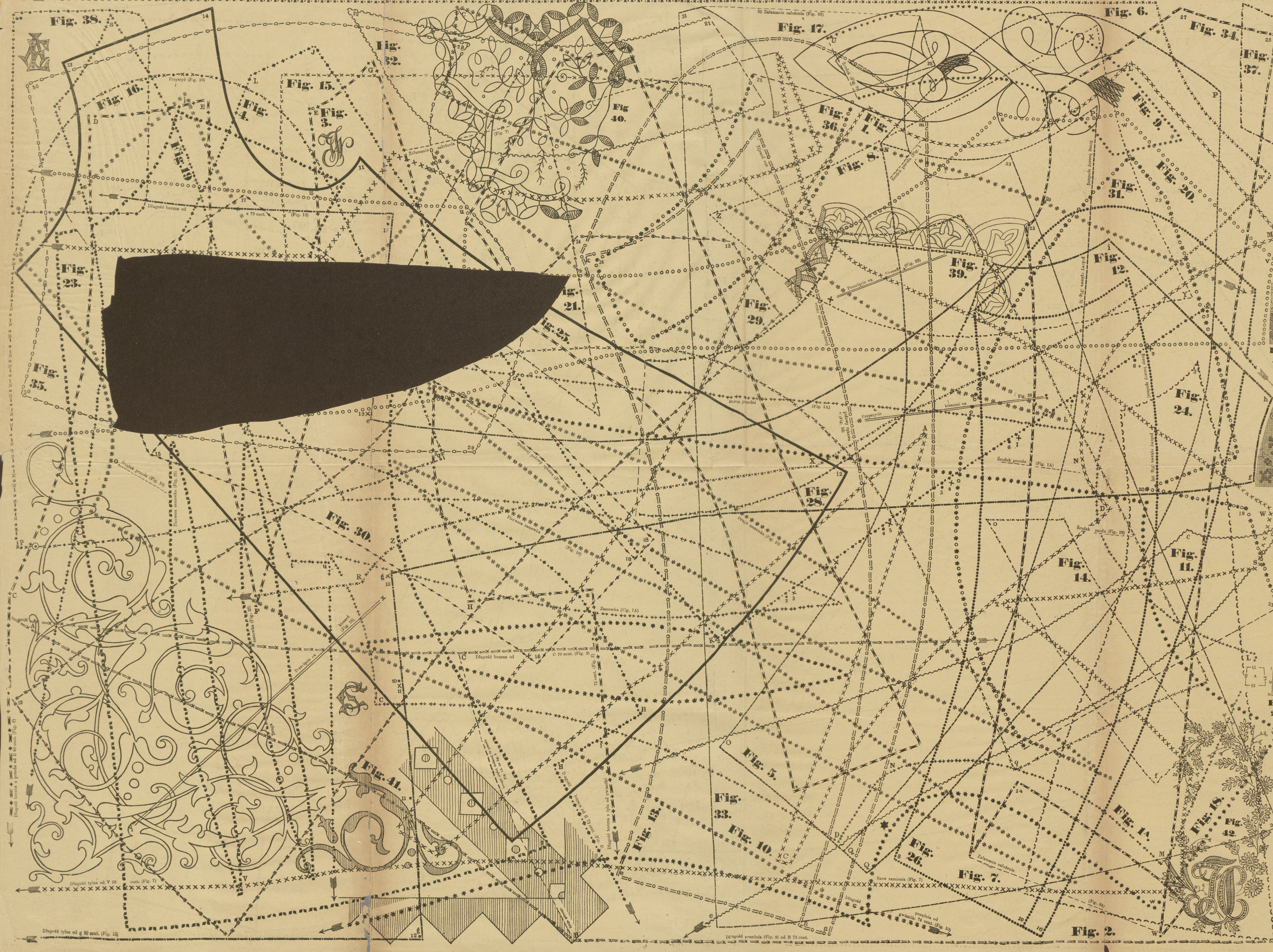
(D. n.)


N. 63. Spódnica do kostiumu ryc. 37 w N-rze 46.


N. 62. Przykrycie na skrzypce. Deseń fig. 94—95.


N. 64. Spódnica do kostjumu r. 32. tudzież r. 35 w N. 46.


N. 55. Koronka do wachlarza, ryc. 53.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

Nr. I. Vêtement do ryc. 35 w Nrze 46 i ryc. 32 i 64 w Nrze 47.
Miara objętości przez połowę: 49 cent. w gorsie, 30 w pasie.
Fig. 1. Przód do wszycia klina (A, B, C, D, L, M, N) ✕✕✕
Fig. 1A. Przód z zaszewką (B, C, D, L, M, N) ↔↔↔↔↔
Fig. 2. Klin z oznaczeniem części dodatkowej do fig. 1A (A, B, C) ✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═✕═
Fig. 3. Pierwszy i drugi boczek (C, D, E, F, G, H, ✲, ✕ 1 i • 1)
Fig. 4. Połowa pleców (G, H, I, K, L, M, ✕ 2 i • 2 do ✕ 9 i • 9) • + • +
Fig. 5. Rękaw (N, O, P, Q)

Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 1—4.

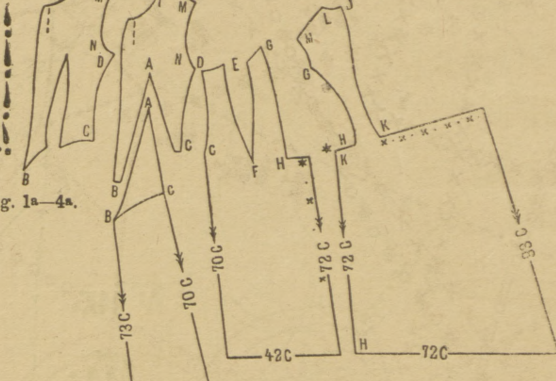


Fig. 1a—4a.

Nr. II. Płaszczyk dla osób starszych. Ryc. 36 w Nrze 46.
Fig. 6. Przód (R, W, X, Z, ✲) ×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·×·
Fig. 7. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią połową rękawa (R, S, T, U, V, W, X, Y) 1 założenie XXXXXXXXXXXXXXXX
Fig. 8. Spodnia połowa rękawa (X, Y, Z) •—•—•—•—•—•—
Fig. 9. Połowa stojącego kołnierzyka (U, ✲) ✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱✱

Fig. 6a—7a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 6—7.

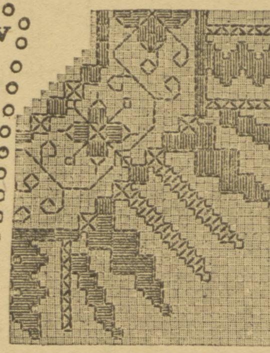


Fig. 45c.

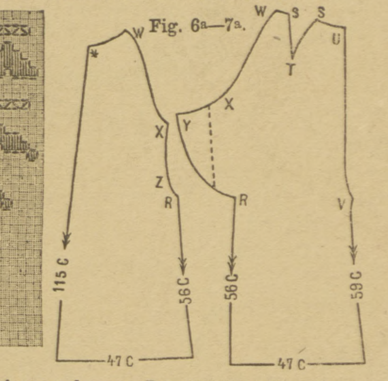


Fig. 6a—7a.

Nr. III. Paletot z wcinaną peleryną. Ryc. 26 i 38 w Nrze 46.
Fig. 10. Przód wraz z boczkiem (a, b, c, h, i, k, o, ✲) ✲✲✲✲✲✲✲
Fig. 11. Drugi boczek (c, d, e) ∿∿∿∿∿∿∿∿
Fig. 12. Połowa pleców (d, e, f, g, h, i, ✕ 10 i • 10 do ✕ 13 i • 13)
Fig. 13. Rękaw (k, l, m, n) ═o═o═o═o═o═o═o═o
Fig. 14. Kołnierzyk stojący (f, o)
Fig. 15. Połowa przodu i pleców peleryny (p, q) —✕—✕—✕—✕
Fig. 16. Boczek (p, q) ✕—•✕—•✕—•✕—•✕—•✕—•✕—•✕—•

Fig. 10a—12a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 10—12.

Fig. 17. Deseń wyszycia.

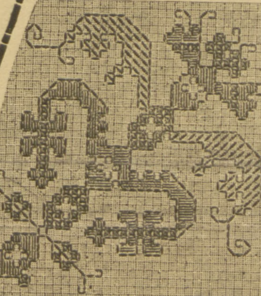


Fig. 45b.

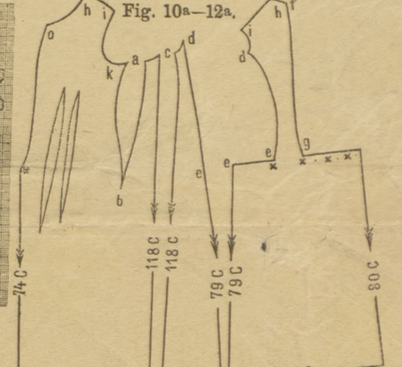
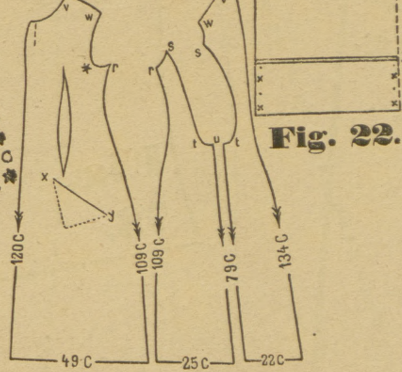


Fig. 10a—12a.

Nr. IV. Długi paletocik z kapturkiem, dla młodej panienki. Ryc. 46—47 w Nrze 47.
Fig. 18. Przód (r, v, w, x, y, ✵) ✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵✵
Fig. 19. Boczek (r, s, t, u) ↔••↔••↔••↔••↔••↔••↔••
Fig. 20. Połowa pleców (s, t, u, v, w) OOOOOOOOOOOOOO
Rękaw krajać podług fig. 13.
Fig. 21. Klapka do kieszeni (x, y)
Fig. 22. Wskazanie kroju połowy kapturka.

Fig. 18a—21a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 18—22.

Fig. 18a—20a.



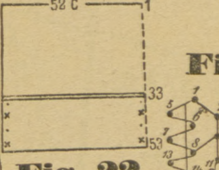
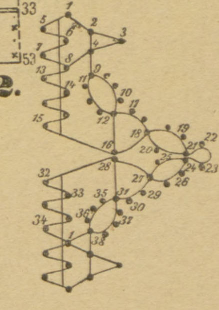


Fig. 22.

Fig. 44.



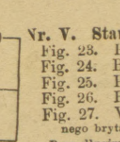


Fig. 27.

Nr. V. Stanik i draperja dla dziewczynki lat 7—9. Ryc. 2 w Nrze 47.
Fig. 23. Przód (1, 2, 5, 6, 7)
Fig. 24. Boczek (1, 2, 3, 4)
Fig. 25. Połowa pleców (3, 4, 5, 6)
Fig. 26. Rękaw (7, 8, 9, 10) ••••••••••••••••••••••••••••••
Fig. 27. Wskazanie kroju połowy draperji (a. połowa przodu, b. połowa tylnego bryta).

Przy długim staniku od sukni z materjału wełnianego gładkiego i w kratę, dana gładka spódniczka 34 cent. długa, przysłonięta równie szerokiem plisowaniem; dolne plisowanie jest 12 cent. szerokie. Draperja przednia upięta podług ryc. 2; tylny bryt ułożony jest w dwa pukle i u góry przyszyty szwem odwracanym. Kokardy z atłasowej wstążki.

Nr. VI. Paletocik z krótką pelerynką dla dziewczynki lat 5—7. Ryc. 20—21 w Nrze 47.
Fig. 28. Przód (11, 12, 13, 14, 15)
Fig. 29. Połowa pleców (11, 12, 13, 14) ✱—✱—✱—✱—✱—✱—
Fig. 30. Rękaw (15, 16, 17, 18)
Fig. 31. Połowa pelerynki (19, 20, 21, 22) ✱O✱O✱O✱O✱O✱O
Fig. 32. Połowa kołnierza (21, 22)

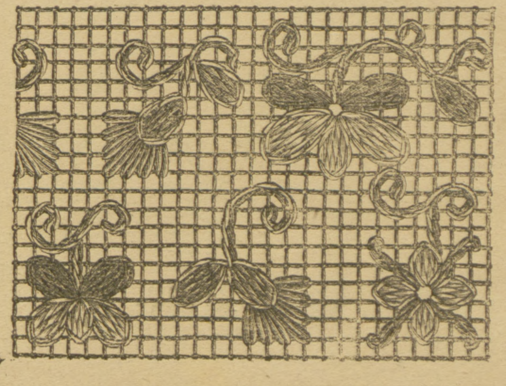
Nr. VII. Paletot dla chłopca lat 6—8. Ryc. 24—25 w Nrze 47.
Fig. 33. Przód (23, 24, 27, 28, 31, ✲, ⁚, +, •) 1 założenie
Fig. 34. Połowa pleców (23, 24, 25, 26, 27, 28, 29 1 założenie
Fig. 35. Rękaw (29, 30) O—O—O—O—O—O—O—O—O—
Fig. 36. Połowa kołnierza (25, 31) ✱O✱O✱O✱O✱O✱O✱O
Fig. 37. Klapka od kieszonki górnej (•, +)
Fig. 38. Kieszonka boczna (✲, ⁚) —•—•—•—•—•—•—•

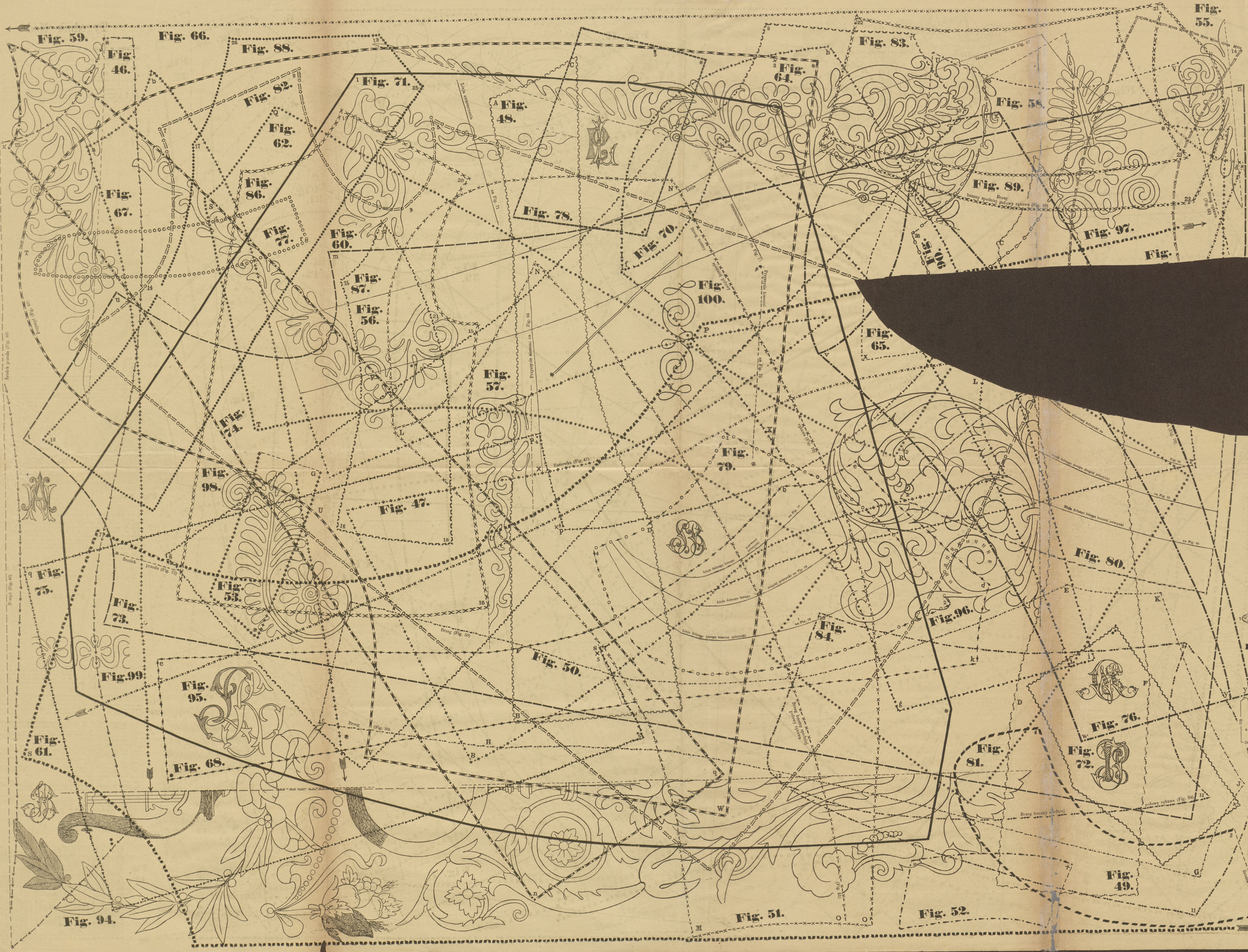
Łatwy krój nie wymaga opisu; dodamy tylko że wierzch i spód rękawa krają się w jednym ciągu podług fig. 35. Kołnierz i klapki objęte są taśmą.

Nr. VIII. Wachlarz malowany z koronką. Ryc. 53 i 55 w Nrze 47.
Fig. 39. Połowa deseniu wraz z koronką ⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈⋈

Desenie.
Fig. 40. Deseń koronki do wachlarza ryc. 54 w Nrze 47.
Fig. 41. Arabeska i narożnik do ryc. 31—32 w Nrze 46.
Fig. 42. Gałązka i monogram do ryc. 58 w Nrze 47.
Fig. 43. Szlak do ryc. 56 w Nrze 47.
Fig. 44. Napięcie deseniu } do ryc. 24—25 w Nrze 46.
Fig. 45a. Tło } do ryc. 24—25 w Nrze 46.
Fig. 45b. Narożnik } do ryc. 24—25 w Nrze 46.
Fig. 45c. Otoczenie do środkowego deseniu } do ryc. 24—25 w Nrze 46.

Fig. 45a.





Tygodnik Mód

w Warszawie 1882 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

Nr. IX. Stanik i draperja do sukni ryc. 19 w Nrze 46 i ryc. 33—34 w Nrze 47.

Miara objętości przez połowę: 48 cent. w gorsie, 29 w pasie.

Fig. 46. Połowa plastronu (*, :, +)
Fig. 47. Przód (A, B, I, K, L, *, :)
Fig. 48. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 49. Drugi boczek (C, D, E, F)
Fig. 50. Połowa pleców (E, F, G, H, I, K)
Fig. 51. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 52. Połowa przednia stojącego kołnierza (*, +)
Fig. 53. Połowa tylna stojącego kołnierza (g, *)
Fig. 54. Wskazanie kroju połowy draperji (a. połowa przedniego, b. połowa tylnego bryta).
Fig. 55. Deseń na plastron
Fig. 56. Deseń na przód
Fig. 57. Deseń na boczek
Fig. 58. Deseń na plecy
Fig. 59—60. Deseń na rękaw
} do wyszycia sutaszem.

Nr. X. Płaszczyk z krótkiem karoczkiem z tyłu. Ryc. 39—40 w Nrze 47.

Fig. 61. Przód (P, S, T, U, Y)
Fig. 62. Połowa pleców (Q, R, S, T, *, ✕ 1 i • 1 do ✕ 2 i • 2)
Fig. 63. Wymiar połowy tylnego bryta (P, R, *)
Fig. 64. Zwierzchnia połowa rękawa (T, U, V, W, X, *, ✕ 3 i • 3)
Fig. 65. Spodnia połowa rękawa (U, V, W, X, Y)
Fig. 61a—65a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, fig. 61—65.

Fig. 61a—62a u. 64a—65a.



Fig. 63.

Przy płaszczyku ryc 39—40 w Nrze 47 odznacza się krótkie fałdowane karoczko przy plecach, dopełnione brytem z szerokiem plisowaniem (fig. 63). Bryt ten łączy się z przodami od P; dalej składając gwiazdką do gwiazdki przy plecach dopełnia pachę, w którą wszywa się zwierzchnia połowa rękawa od U przez T do gwiazdki, dopełniona częścią spodnią fig. 65. Tylny brzeg rękawa zakłada się w fałdę, a dolny lekko podwija i zaokrągla. Górny brzeg tylnego bryta objęty wstążką podszywa się do pleców. Model nasz był z atłasu w aksamitne kwiaty, na lekko podwatowanej i pikowanej jedwabnej podszewce. Czarna materja faille, wzięta pojedyńczo, stanowi plisowanie przy tylnym brycie; przy rękawach i pod szyją plisuje się złożona we dwoje. Przybranie stanowią pompony, sznury i torsada sznelowa.

… z pelerynowemi rękawami, dla panienki lat 12—15.
… Nrze 47.
… d, e, f, l, :, +)
… a, b, c)
… pleców (b, c, d, e, k, *, •)
… ie kroju połowy części dopełniającej plecy (c, •)
… g, h, i)
… (k, l, *)
… kieszeni (:, +)
… szony format zestawionych razem części kroju, fig. 66—71.

Fig. 71a.



Fig. 69.

Fig. 54.

… k dla panienki lat 10—12. Ryc. 23 i 45 w Nrze 47.
… n, t, u, v, z, *, :)
… n, n, o, p, q)
… owa pleców (o, p, q, r, s, t, u, ✕ 4 i • 4 do ✕ 5 i • 5)
Fig. 76. Rękaw (v, w, x, y)
Fig. 77. Pasek do kołnierzyka (r, z)
Fig. 78. Kieszeń (*, :)

Na paletociku z ciemno granatowego materjału naszyte jest sznurowanie z bardzo grubej szerokiej plecionki; wiszące ozdoby dane z pasmanterji. Zestawienie pojedyńczych części i fałd przy plecach ułatwiają odpowiednie litery; klapki od kieszeni przyszywają się od gwiazdki do dwukropka na przodzie; prosty wykład na rękawie jest 7 cent. szeroki.

Nr. XIII. Poczwórna pelerynka z kołnierzem do płaszczyka ryc. 9 w Nrze 46 i ryc. 22 i 48 w Nrze 47.

Fig. 79. Przód peleryny (1, 2, 4)
Fig. 80. Połowa pleców (1, 2, 3)
Fig. 81. Połowa kołnierza (3, 4)

Nr. XIV. Paletocik dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 34 w Nrze 46.

Fig. 82. Przód (5, 6, 7, 8, 9, 14, *, :)
Fig. 83. Połowa pleców (5, 6, 7, 8, 13)
Fig. 84. Rękaw (9, 10, 11, 12)
Fig. 85. Połowa kołnierza (13, 14)

Półwcięty paletocik z ciemnobronzowego pluszu, oszyty grubym jedwabnym sznurem, ma piękne ciemne stalowe guziki. Wszystkie szwy i brzegi powinny być starannie podszyte.

Nr. XV. Sukienka dla dziecka lat 1—3. Ryc. 49 w Nrze 47.

Fig. 86. Przód (15, 16, 19, 20, 21, 26)
Fig. 87. Boczek (15, 16, 17, 18)
Fig. 88. Połowa pleców (17, 18, 19, 20, 25)
Fig. 89. Rękaw (21, 22, 23, 24)
Fig. 90. Połowa kołnierzyka (25, 26)
Fig. 86a i 88a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 86 i 88 z oznaczeniem linją kropkowaną brzegu materjału zwierzchniego.

Zbywającą szerokość materjału zwierzchniego, zakłada się w fałdy, zastębnowane z tyłu na 30 z przodu na 28 cent. długości, luźno puszczony brzeg dolny podkłada się na lewą stronę i podszywa. Spódnica złożona w szerokie kontrafałdy, uszyta z kawałka materjału 170 cent. szerokiego, 16 długiego. Kokardy, stalowe sprzączki i guziczki, dopełniają ubrania sukienki z bronzowego sukna.

Nr. XVI. Chusteczka. Ryc. 4—7 w Nrze 47.

Fig. 91. Wskazanie kroju chusteczki.



Fig. 91.

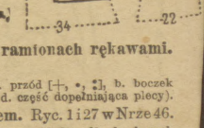


Fig. 86a u. 88a.

Nr. XVII. Długi płaszczyk z podniesionemi na ramionach rękawami. Ryc. 37—38 w Nrze 47.

Fig. 92. Wskazanie kroju połowy płaszczyka (a. przód [+, •, :], b. boczek wraz z rękawem [*, :, +], c. połowa pleców [•, :, *], d. część dopełniająca plecy).

Nr. XVIII. Płaszczyk z podpinanym tylnym brytem. Ryc. 1 i 27 w Nrze 46.

Fig. 93. Wskazanie kroju połowy płaszczyka (a. przód [*, :], b. boczek z plecami [+], c. pelerynka, d. rękaw [*, :], e. bryt tylny).

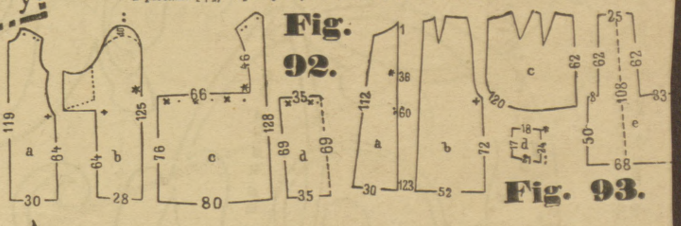


Fig. 92.

Fig. 93.

Desenie.

Fig. 94. Połowa deseniu (haft płaski)
Fig. 95. Monogram (haft złotem)
} do serwety ryc. 62 w Nrze 47.
Fig. 96. Połowa deseniu do ryc. 28 w Nrze 46 i ryc. 11 w Nrze 47 haft z aplikacją.
Fig. 97—98. Dwie arabeski
Fig. 99—100. Dwa szlaczki
} do ryc. 2 i 4—5 w Nrze 46.
Fig. 101. Koronka (haft na tinlu) do ryc. 3 w Nrze 47.

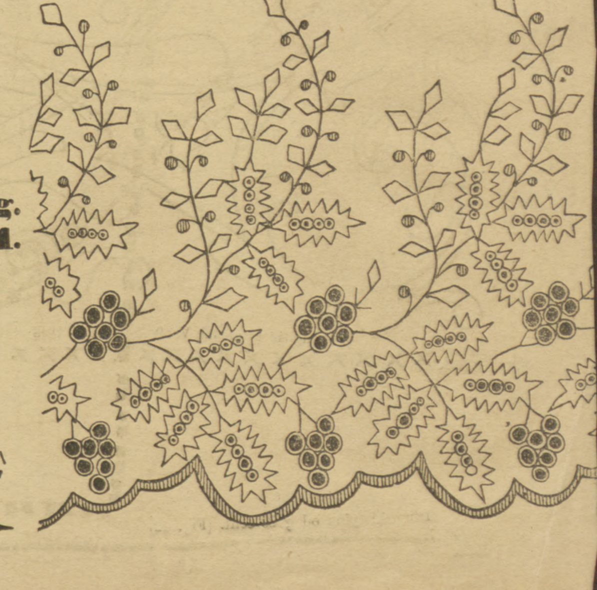


Fig. 101.